

Michał Korczay-Metelicki

Michał Korowaj-Metelicki.

POEZYE.

Z WIZERUNKIEM AUTORA.

PETERSBURG.
KSIĘGARNIA POLSKA BR. RYMOWICZ.
1893.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Sp., pod zarz. J. Gadowskiego.

Michał Koroway-Metelicki.

(Krótki rys biograficzny).

Michał Koroway-Metelicki pochodził z rodziny osiadłej od dawna na Ukrainie. W kolebce odumarł go ojciec, w kilka lat stracił matkę, a ojczym i stryj, ś. p. Paweł Koroway-Metelicki zajął się wychowaniem i kształceniem chłopczyka. Ojczym, człowiek niezamożny, obarczony rodziną, przyłożył wszelkich starań, aby dziecię szło drogą naukową. Staraniem ojczyma Michał Koroway-Metelicki skończył gimnazyum w Połtawie (ze srebrnym medalem) i uniwersytet w Warszawie (ze stopniem kandydata praw, w 1882 r.). Po wykwalifikowaniu naukowem urzędował w Radomiu i w Warszawie, co trwało bardzo krótko, gdyż dla słabego zdrowia musiał opuścić urzędo-

wanie i przenieść się do rodzinnej wsi Jarowe na Ukrainie. Tu oddał się nauce i literaturze. Badał kilka lat literaturę ukraińską, a oceny i sprawozdania z tej dziedziny drukował w „Przeglądzie Tygodniowym“. W „Kraju“ zamieszczał korespondencye z okolicy zamieszkiwanej, a także z okolic zwiedzanych. Ostatecznie jednak zeszedł na drogę najwłaściwszą dla siebie, poświęcił się całkiem poezyi, która od lat dziecinnych niemal miała dla niego wielki urok. W 1889 roku wyszedł w przekładzie „Demon“ Lermontowa („Szatan“ Warszawa) i jednocześnie prawie „Anioł Śmierci“ tegoż poety (drukowany w „Kraju“), a oprócz tego przedtem i potem tworzył oryginalnie: drobne poezye, „Sonety Ukraińskie“, i „Freski Krymskie“. Utwory te noszą wszystkie cechy podniosłego talentu Michała Koroway-Metelickiego i uwidoczniają nastrój jego duszy wysoce poetycznej, owianej głębokim smutkiem i tęsknotą, a rozmiłowanej w przyrodzie. Czując się coraz słabszym, zebrał wszystkie swoje poezye tak, jak były pisane, chronologicznie, nakreślił krótką przedmowę i zapragnął wydać je sam, ale nie dano mu było, gdyż

zaraz po powrocie ze Sławuty, gdzie bawił dla podtrzymania zdrowia, zapadł w ostateczną piersiową chorobę i zgasł dnia 9 stycznia 1891 roku u krewnych we wsi Bożydar, Radomskiej gubernii. Pochowany na cmentarzu parafialnym wsi Krępa-Kościelna.

M. K. M.

22 listopada 1892.

PRZEDMOWA.

W zbiorku niniejszych mych poezyj zamieściłem parę wierszy, powstałych przed laty dziesięciu, natury czysto subjektywnej. Rzeknie ktoś: co światu do twych uczuć, do twych radości i smutków? Istotnie, radość, a zwłaszcza smutek i ból są chlebem powszednim milionów.

Zarozumiałością jest spowiadać się ze swych uczuć publicznie. Gdy jednak uczucia i myśli jednostki krystalizują się w formy estetyczne, w razie danym w formy poetyckie, stają się wtedy już tworem sztuki i jako takie, mają prawo być okazane na widok publiczny.

Ta przyczyna uzasadnia pomieszczenie omawianych wierszy. Wogóle zaś wydaję cały ten skromny zbiorek mych poezyj z powodu, że oddawna nosząc w piersi zarodki negujące życie,

a obecnie czując się na zdrowiu gorzej, nie chciałbym, aby poszło na marne to, na co, jakkolwiekbądź, złożyły się lepsze pierwiastki ducha mego.

Tyle do czytelnika. Zresztą powiem za Syrokomlą:

„Niech krytyk szarpie“...

i dalej za tym-że Syrokomlą:

„A Wy, Wiaro, Nadziejo, ty Miłości Boża,
Ja czasem z harfą przyjdę do twego podnoża,
Pobłogosław me pieśni, jako wdowie grosze,
Czy je w ciszy zanucę, czy światu ogłoszę“...

Michał Koroway-Metelicki.

1890 r.
Boży-Dar.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WIERSZE RÓŻNE.

Do gwiazdzistych sfer.

Meteorze świetny, wolny,
Kędy chyżo mkniesz?
Pod twym lotem jest świat dolny,
Czy ty o nim wiesz?

Gwiazdo złota! Ty wysoko
Brylantami drgasz...
Dziwi ci się ludzkie oko,
Pyta, czy nas znasz?

Ty, promieniu słońca jasny,
Igrasz wesół wciąż,
A nam trudny żywot własny:
Smutku gryzie wąż.

Łuk swój czepiasz, tęczo w chmurze,
Pełen cudnych barw:

Z ziemi płynie głos ku górze,
Głos pękniętych harf!

Ale tęcza go nie słyszy,
Promień świeci w dal...
I meteor pomknął w ciszy,
Wśród eteru fal.

Na ten niemy brak oddźwięku
Z tych gwiazdzistych sfer,
Człowiek słaby w cichym jęku
Puszcza w otchłań ster.

1878 r. 3 sierpnia.
Jarowe.

Na fotografii ofiarowanej M. K.- M.

Oto, masz — ducha nędzna osłona,
Jedna połowa mego jestestwa!
Gdy więc zapadnę w zimne to łono,
Które ma straszne miano nicestwa,
A Ty, przypomnieć pragnąc me czoło,
Niegdyś ku gwiazdom pnące się dumnie,
W ciężkich dziś smutków wplątane koło,
W on czas robactwem toczone w trumnie,
Spojrzysz na rysów zmarłych odbicie:
Nie ślij w krainę śmierci westchnienia!
Nie chcę, by cień mój mącił Twe życie,
Cień, co wart tylko li zapomnienia...
Bo gdzież mój pomnik?... jakież me dzieje?...
Cóż komu po tem, żem cierpiał wiele?
Ma biografia — świetne nadzieje,
Plany stargane, chybione cele!

Smutne krótkiego życia koleje!
Dziś jam rozbitek — burzą złamany,
Lecz nikt nademną łez niech nie leje,
Boby wypłakał łez oceany!
Większą ma boleść, niż fal bez miary,
Pędzla Rembrandta rozpacz ma godna,
Życie mi niosło zatrute czary,
Jam je, niestety! wychylił do dna;
Trwam wszakże dotąd, a choć w mem łonie
Wir uczuć nie zgasł, smutnej powieści
Z ludźmi nie dzielę: zimne me skronie,
A na nich stygmat tajemnej treści!

1878 r. 5 grudnia.
Warszawa. Szpital Dzieciątka Jezus.

Myśl z »Ajudahu« Mickiewicza.

Serce wieszcza — to jak morze:
Częste burze płużą je,
Duch wzlatuje na bezdroże,
Orkan huczy, dmie.

Ludziom wówczas widne męty,
Rozszalałych uczuć wir...
Po cóż pytać, czem duch tknięty?
Zkąd boleści kir?...

Lecz gdy rozum sięgnie berła,
Gdy ucichnie serca głąb,
W niem nie jedna drzemie perła,
Tylko głębiej zstąp!...

1879 r. 19 grudnia.
Jarowe.

Suum cuique.

Poeta pytał, stojąc przy tancerce,
Co lepiej: czyli w strupieszałem łonie
W proch rozsypane, zeschłe więzić serce,
A tak mieć zimne, jak z granitu skronie?...
Czy może — w sercu gadów pieścić roje?
Na głowie ostre nieść cierniowe wieńce?
A choć pioruny sieką, palą znoje,
Tam iść, gdzie idą prawdy oblubieńce?...
I gdy dokoła lotne krążą pary,
Z uśmiechem cudnym jej szepnęły usta:
„Zapewne, panie, źle jest, gdy mąż stary,
Lecz gorzej młody, kiedy kieszeń pusta“.

1880 r.
Warszawa.

»Był czas!«

Był czas!... ja w młodych rówienników gronie
Srebrzystym dźwięczę śmiechem — bez trosk i bez winy,
Gra mi radością serce, lice płonie...
A na uboczu zegar wydzwania godziny.

Wtem sfinks ponury rzucił mi pytania
Zagadki tajnej życia... i młode me czoło
Z żarem szukało słowa rozwiązania...
A zegar wciąż złowieszcze zataczał swe koło.

Zgrozo! rozpaczy! Czemu milczą głosy
Nadziei? wiary?... Niebios ściemniały przeźrocza!...
Duch mój ożywczej pragnął w on czas rosy...
A zegar — jak szyderca — urągał z ubocza.

Dziś mię nie cieszy radość, ból nie boli;
Wygasło w popiół serce po zwątpień pożarze;

Myśli gdzieś pierzchły!... Dziś w tak smutnej doli
„*Memento mori!*“ widzę na życia zegarze.

Jednak — nim czasu wąż me koło ściśnie,
Nim w proch rozpadnie ciała śmiertelna powłoka,
Bodaj mi jedna rzewna łza wytryśnie!
Na chwilę bodaj! zmięknie duszy mej opoka...

Wszak za dotknięciem Mojżeszowej laski
Kamienie — ongi łkając — wybuchnęły łzami...
Czemuż dziś braknie żywej niebios łaski?...
Czyż głazy ludźmi, ludzie stali się głazami?...

1880 r. 27 listopada.
Warszawa.

Pobudka.

Niech zagra dzisiaj pobudki głos!
Precz smutków sępne poczwary!
Niech iskrzy oko! powiewa włos!
Zaszumcie życia sztandary!...

Lecz dzieci wabi motyli rój,
Złocony, barwny, skrzydlaty,
Za nimi gonią, choć pali znój,
Choć depcą kwiecia szkarłaty...
Młodzieniec również, gdy przed nim świat
W barw pysznych stanie koronie,
Chcąc ideału pochwycić kwiat,
W słoneczne pędzi ustronie...
I róż girlandą oplata skroń,
Nadzieją błyszczą mu oczy...
I złotem wiosłem uderza w toń
Kryształem lśniących przezroczy.

Już młodzian blizkim edenu był,
Czyhała skała podwodna:
Gdy cudnie marzył, tęczowo śnił,
Jak kamień — poszła łódź do dna!

Nie wszystkich srogi spotyka los:
Młodzieńce mienią się w męże!
Ci zdolni przetrwać nie jeden cios
I zahartować oręże.
Ideał-motyl niech nęci młódź!
Lecz inne mężów zadanie:
Drewnianem wiosłem drewnianą łódź
W przyszłości suńmy przystanie!
A jeśli w bezmiar niebieskich sfer
Wzrok wzniesiem z dolnej ziemicy,
To tylko po to, by życia ster
Zacisnąć mocniej w prawicy!
Gdy drogi nasze zgmatwane tak,
Chmur groźnych pełno na niebie:
Raz bądźmy lotni, jak chyży ptak,
Jak żółw powolni w potrzebie!
Tam — gdzie przesądów odwiecznych rak
Mózg ludziom toczy i serce,
Tam — gdzię oświaty dotkliwy brak,
Z nauką życie w rozterce:

Myśl niechaj nasza — jak stali raz,
Krzeszący iskry z krzemieni,
Uderzy z mocą w nieuctwa głaz
I wznieci tysiąc promieni!
Tam zaś — gdzie duszy złamanej jęk,
Gdzie zgrzyt rozpacznej boleści,
Głos nasz niech zagrzmi w pociechy dźwięk
I pomoc bratnią obwieści!...
A gdy tych czynów spełnimy hart,
Nas nie zawiodą nadzieje,
Że przysporzymy historyi kart,
Zdobiących przyszłe jej dzieje.

Więc niechaj każdy, kto duchem mąż,
Kto życie myślą pogłębia,
Tak chytrym będzie, jak chytry wąż,
Lecz serce niech ma gołębia!

1880 r. 4 grudnia.
Warszawa.

Do M. K.-M.

Kiedym w młodości kwietnym poranku
Z polnej powracał wycieczki,
Tobie samotnej w wiejskim krużganku
Niosłem pól krasne kwiateczki.
Kiedy w młodości orlim polocie
Z górnej spuszczałem się jazdy,
Śmiało skradzione w niebios namiocie
Jasnem przynosił Ci gwiazdy.
Brałaś i gwiazdy, brałaś i kwiaty,
Cudnym zdobiłaś mię wiankiem;
Strojąc mię w tęcze, złote z gwiazd szaty,
Sławy mię śniłaś kochankiem.

Kiedy w późniejszym wieku żałoby
Świetne się zćmiły widziadła,
Na me mogiły, marzeń mych groby
Smętna szłaś, drżąca, wybladła.

Kiedym w rozpaczy nurzał się toni,
Światu złorzeczył i sobie,
To za dotknięciem miękkiej Twej dłoni
Jam się ukajał w żałobie.
I jak przed słońca złotym promieniem
Grzmotne pierzchają pioruny,
W słodycz mieniłaś rzewnem spójrzeniem
Gorzkie życiowe piołuny.

A tak — czy świat mi jaśniał uśmiechem,
Czylim w noc tonął bezdenną,
Niebios błękitnych byłaś mi echem,
Słupem Mojżesza przedemną!
Kiedy w rozgwarnem miasta mrowisku
Dłonie się nasze spotkały,
Zbiegły się dusze w jednym uścisku,
Jak dwie siostrzyce witały.
Toż dziś nam ślubne ścielą kobierce,
Zabrzmi nam: „*Veni*“ radośnie,
Odtąd myśl z myślą, z sercem się serce
W zgodną harmonią nam zrośnie...

I Ty mi będziesz wiarą, nadzieją,
Mym opiekuńczym aniołem,
Będziesz nowego życia koleją,
Mego zapału sokołem!

Będziesz mi gwiazdą, cudem, błękitem,
Skrą brylantową, wawrzynem,
Uczuć mych perłą, myśli zenitem,
Duszy mej hartem i czynem!...

1881 r. 24 kwietnia.
Warszawa.

Noc burzliwa.

Zachciało się szalonej zpod bieguna północnego burzy poigrać w naszem brukowanem mieście.

Wybrała się do nas na noc i... dalej! hulanka...

Ale za ciasne ulice!...

Przywykła do nieskończonych przestworów... Więc gniewa się i miota, ciska w oczy zniewieściałym mieszczuchom płatami śniegu... mroźnymi palcami na szyldach, jak na klawiszach, dzikie wygrywa *furioso*... zgrzyta i skacze ze złości...

Kryje się, kto może. Wraca do domu kupiec, lekarz i urzędnik... śpieszy modniarka.

Idzie do rodziny i wyrobnik spracowany, a ma spory kawał drogi, z jednego końca miasta na drugi: mieszka na samem przedmieściu.

Tam dopiero szalona królowa północy wyprawia swe harce. Zrywa okiennice, wybija szyby,

wciska się gwałtownie do ubogiej izby i gasi świeczkę łojową...

Biedni ludziska nie są pewni, czy nie zechce zabawić się, jak dziecię swawolne, w domki karciane, zdmuchując, jednę po drugiej, nędzne ich lepianki...

Naprowadziła z sobą chmur gęstych, śnieżystych legiony, wyje i ryczy... Czy z niedźwiedziami białymi na ucztę przyszła?!...

Wszystko chroni się przed nią i szczelnie zamyka.

Tylko czas niewzruszony spokojnie posuwa strzałki na miejskim zegarze i dzwoni godziny. Lecz i tu wciska się burza, skrada uderzenia, wirując i mącąc powietrze... Już północ!...

Szalej, dziki orkanie!... ludzie bezpieczni są pod swymi dachami... światła i światełka gasną... za chwilę ani w myśli im nie będziesz! Usną od trosk dziennych wolni...

Ale nie wszyscy!...

Na samym końcu miasta uboga chatka stoi...

Zwolna i lękliwie otwierają się drzwi skrzypiące, a z nich wysuwa się postać kobieca...

Rozwścieklony orkan rzuca się wnet na nią... porywa, usiłuje zwalić i śniegiem zasypać...

Snać dla ważnej przyczyny ta ludzka istota w noc taką opuszcza bezpieczny przytułek... Nie ulękła się rękawicy rzuconej przez groźnego wroga... walczy z burzą, cierpliwie z zasp śniegowych wydobywa nogi... i tak porusza się naprzód, chwiejnym krokiem kierując się w stronę głównego miasta...

Gdy opuściła przedmieście, poszło już jej łatwiej. Na niektórych przynajmniej ulicach śniegu było niewiele, a chociaż latarnie miejskie drżące i słabe światło lały, jednakże rozpraszały miejscami ciemność i dalszą wskazywały drogę; więc posuwała się kobieta szybciej i krokiem pewniejszym...

Ale dlaczego tak często ogląda się? Czy obawia się pogoni?... Czemu drży?... Ha! zbrodniarka.

Tego też pewno był zdania idący naprzeciw niej stróż bezpieczeństwa... Stanął przy latarni, obejrzał kobietę od stóp do głowy, a dostrzegłszy zawiniątko, mruknął: „Jest pszczółka w ulu"... Gotów był już ją przyaresztować. Wtem zawiniątko wydało głos niemowlęcy... Nowicyusz, od wczoraj pełniący obowiązki stójkowego, dał pokój kobiecie...

Ta strwożona szła dalej. A tu samym środkiem ulicy pędzi rozbukana burza. Wzbija kłęby śniegu i ćmi światło latarń. Rozwiewa nędzne ubranie kobiety, ścina krew w jej żyłach i mroźne iglice zapędza pod paznogcie... Ucieka przed nią kobieta i zawraca na prawo w kierunku przerzynającym kierunek burzy... Było tu spokojniej i zaciszniej... i mniejsze śniegu namioty...

Stanęła przy kolumnadzie ganku kilkopiętrowej kamienicy... Spała kamienica!... Lecz skrzypnął śnieg... Pilniej nasłuchiwać zaczęła... Nie! to własne jej serce bije... stuka krew w skroni...

Ale czas!...

Więc z niemowlęciem w jednej ręce, drugą jęła pośpiesznie śnieg zmiatać między dwiema najmniej zasypanemi kolumnami...

Potem ruchem gwałtownym porwała dziecię, cisnąc do piersi, jak gdyby chciała je napowrót do macierzyńskiego łona wtłoczyć... Stanowiła z niem jednę istotę spojoną boleścią... dławiła w sobie łkanie... Sypnęły się z oczu łzy... Ścinał je mróz w perły...

Wtem kroki!...

Nadludzkim prawie wysiłkiem oderwała się od dziecka. Złożywszy na jego małem czole pocału-

nek gorączkowy i opuściwszy w przygotowane dłań, nie z pierza i puchu, łóżeczko, pomknęła, oczekując pogoni...

Czuła się zbrodniarką występną... Była tylko osieroconą matką...

Chciała iść dalej... Sza!... Co to? niemowlę kwili?...

Kwiliła burza.

Cofa się i wraca, bo tam niemowlę... Tam własne zostawiła serce... Jak gdyby wieki niewidziane porwała dziecię, pieściła je, okrywała pocałunkami... Zagrał w niej duch macierzyństwa...

Ale o! zgrozo... stanęło przed nią jutro w strasznym obrazie nędzy, poniżenia, śmierci głodowej może...

Dzień cały kawałka chleba suchego nie miała w ustach; wstydząc się okazać swą biedę i rękę wyciągnąć, kryła się przed ludźmi w zimnej, niepalonej dziurze... Spływała wilgoć po ścianach tej smoczej jamy... One tylko były świadkami jej nędzy... Rozczulone płakały!...

Do dziś trzymała się jeszcze w swej dumie... Uległa! Jutro czeka ją żebractwo...

Więc tłumiąc uczucie macierzyństwa, ruchem kurczowym oderwała od siebie dziecię. I tylko

ściągnąwszy z głowy chuścinę biedną, starannie owinęła w nią małe, złożyła w niesłane łóżeczko i pocałowała, szepnąwszy z cicha: „Tę jedną nockę prześpij... Wezmą cię jutro ludzie... pan kamienicy... Ja pójdę w świat... Może odszukam ojca twego“...

Zawyła burza... załkała... wzbiła się w górę i na północ podbiegunową pomknęła...

Nazajutrz... przybyła społeczeństwu żebraczka jedna i jeden podrzutek.

Kuryery wnet krzyknęły: „I znowu zbrodnicza matka!“...

Ale zbrodnicza matka była młodą...

Kobiety młode poszukiwane są...

Zajęła się więc wkrótce jej losem pewna litościwa dama[1])...

[1]) Drukowane w „Prawdzie“ warszawskiej roku 1881 w Nrze 53, pod pseudonimem: M. Kornic.

Jeremiady współczesne.

„Piekielne czasy — proszę jegomości!
Człowiek niepewien drży o swoje kości:
Bezwyznaniowość szerzy się — i kwita!
Na uniwersytet chodzi kobiéta;
Słyszę — w Warszawie nie jedna spódnica
Odczyty miewa. Pilnie mnogolica
Jej bredni słucha publika zebrana
Niby mądrego kazania plebana.
A ponoć nawet... aż przeszły mię ciarki!
Piszą recepty kobiety lekarki...
Kazi się, kazi typ polskiej matrony!
Boga jednego prosić nam obrony,
By zbawić raczył domowe ognisko,
Bo się zamieni wraz w pogorzelisko:
Tylko nie widać — jak gwiazda ognista
Wkrótce obwieści czasy Antychrysta.
Proroctw fałszywych dzisiaj — co nie miara.
Moralność upada, rodzina, wiara...

Boga, bo księży dzisiaj nikt nie słucha.
W Imię Ojca, Syna, Świętego Ducha!"
W zapale wielkim mową swą przejęty
Do ziemianina mówił ksiądz Wincenty.
„Oj! prawda, prawda"... rzecze dziedzic Starki —
„Mnożą się, mnożą młode niedowiarki
I podkopują świetny gmach przeszłości,
Gdzie spoczywają ojców sławnych kości,
Ojców, co w piersiach wielkie mieli dusze...
Więc się należą nam jubileusze!
Gdzie tam! posłuchaj! gryzipiórek lada
Co o ziemiaństwie, co o herbach gada!
Niech weźmie ksiądz do rąk nasze gazety,
Te!... postępowe — niestety! niestety!
Jakich tam oszczerstw, jakich obelg niema!
Zaś sam redaktor krzyczy: anatema!
Za to, że szlachcic — przeszłości odźwierny —
Przy ziemi stoi, niby brytan wierny...
I doradzają mądrze dziennikarze,
Byśmy opuścili stare ołtarze,
Gdyż błysła dzisiaj nowa niby era
Darwina z małpami, Comte'a, Spencera...
Do nas, co Turkom ścinaliśmy głowy,
Kosmopolityzmu szpetnemi słowy

Przemawiają. Ha! pozytywizm... zdrada!...
Księże waszmości, patryotyzm upada!"...

Fabrykant gruby ozwie się z kolei
(Dziad jego do Polski przybył znad Sprei):
„Choć widzę ja prawdy złociste ziarna
W tem, coście rzekli; chociaż to rzecz marna,
A ja nie wszczynam wcale żadnej sprzeczki,
Lecz inkwizycyi paliły się świeczki!
I nie bez winy feodałów rzesza,
Co gwałtem przeszłość obumarłą wskrzesza,
Gdy magnat srogi rozbijał się dumnie,
A chłopek głodny znalazł spokój w trumnie.
Więc dajcież pokój przeszłości! Zagasła!
Dziś inne czasy, i brzmią inne hasła!
Dziś tolerancya, równość wobec prawa!
Stanu to trzeciego, nasza to sprawa.
Czem zaś dla świata całego *tiers état,*
Bardzo wymownie głosił to Gambetta...
Po cóż się dzieją rzeczy bezprzykładne?
Po cóż Lassalów nauki szkaradne
Nieuprawnione budzą w masach żądze?
Każdy bez pracy chce mieć dziś pieniądze.
Po cóż tam jakaś państwowa ustawa
W pracy obronie! Ona w drodze stawa

Układom wolnych współobywateli:
Wyśpi się każdy, jak sobie pościeli.
Wy nie wierzycie, ja w Darwina wierzę,
O byt człek walczy, jak i każde zwierzę.
Wszak nie widziano tak skromnego wilka,
Coby owieczek nie uprzątnął kilka,
Bo postęp leży w wolnej konkurencyi,
Gdy ją powstrzymasz, zginie świat w odmęcie;
Więc po co stawiać sprawę ostro, kantem?
Toż Bismark błądzi, jak-em fabrykantem,
Gdy w niebezpieczne wchodzi dziś sojusze
Z bestyą stugłową, co gdy się rozjuszy,
Świat padnie, runie z nim cywilizacya...
Księże waszmości! czy nie moja racya?"...

1882 r.
Warszawa.

Pamięci J. I. Kraszewskiego.

Tyś odszedł, Duchu jasny, w wieczności krainy;
Lecz polskie nie zapomni Cię już pokolenie,
Bo swą głową przerosłeś piramid wyżyny,
Bo z Twych piersi trysnęły niewyschłe strumienie.

W potoku natchnień Twoich, z kryształu krynicy
Pić będą życia zdroje jak najdalsze czasy,
Boś Ty, pracownik szczery w narodu winnicy,
Niewyczerpanych skarbów zgromadził zapasy!

Twej siejby ziarna plenne na grunt polski padły,
Tyś karmił chlebem ducha pokoleń trzech rody,
Tyś wskrzesił dziejów obraz w mogiłę zapadły,
I czyny Twoje wrogie uznały narody!

Tam — kędy ducha Twego wiodła Cię potrzeba,
Jak Ahaswerus drugi, Tyś szedł bez wytchnienia.

Jak Atlas — na swych barkach pół polskiego nieba
Dźwigając, w znoju pracy Tyś nie szukał cienia.

Ruch myśli, uczuć Twoich, wyobraźni drgnienia,
Jak fale Oceanu, spoczynku nie miały;
Na szczeblach Jakóbowych, Tyś nie znał zmęczenia,
Geniuszu sługa, grzmiącej Tyś nie pragnął chwały;

Do stóp Twych sama przyszła w Wawelowym grodzie.
Tam — skroń Twą siwą zdobiąc w nieśmiertelny wia-
Do ludu rzekła: „Czołem! bo On jest w narodzie [nek,
Największy rycerz ducha i pracy kochanek“.

1887 r.
Jarowe.

»Chleba i igrzysk!«

„Chleba i igrzysk!“ wyjąc — czerń się tłoczy.
Wycie usłyszeć raczył Cezar głuchy:
Z łoża rozpusty ciska w plebs okruchy
I cyrk szkarłatem krwi niewinnej broczy.

Rzym pierzchł!... Krzyż wzniósł się na dziejowej [roli...
Ludy modlitwę ślą do Pana nieba,
A choć przebaczeń żebrzą w niej i chleba,
Pała stos Husa i Sawonaroli!

Setki lat błysły — jak mrugnięcie powiek!
Krwawe sztandary wioną Robespierra:
Oto przed nami wszechbraterstwa era!
Bo na człowieka srogi powstał człowiek.

Dzisiaj!... Germanów rzeka, pychą zdjęta,
W ciasnem korycie pieni się i wzdyma,

I mąż żelazny w dłoni twardej trzyma
Kute na Franków i na Słowian pęta.

„Chleba i igrzysk!“ w uczuć dzikich szale
Dotąd wołamy — bratniej krwi nie syci...
Kiedyż historya nami się poszczyci?
We łzach dziś szepce: „ludzie czy szakale?“...

1887 r. październik.
Jarowe.

Wzloty.

(Sonet).

Tego nie pożrą powszedniości tonie
I nie wygasną temu żary wieszcze,
Kogo zapału przenikają dreszcze,
Komu wybucha nieraz ogień w łonie,

Kogo duch wznosi, łzą zapływa oko,
Kogo od ziemi skrzydła rwą łabędzie,
Za skończoności niosąc go krawędzie
I mknąc w bezmiary, chyżo mknąc, wysoko.

Jednak w tej sferze długo nie zagości;
Ziemia zawistna ciągnie go do siebie
I macierzyństwa swego prawa rości:

Mija więc wzlotów jedna chwilka marna,
Spada w dół człowiek, lecz poziomej glebie
Z niebios przynosi urodzajne ziarna.

1889 r. 16 marca.
Jarowe.

»Kędy duch podąży?«

(Sonet).

Gdy anioł śmierci skrzydłem mię otoczy,
Na czole bladem swe położy piętno:
Ustanie wówczas życia mego tętno,
Świat czarów ziemskich nagle się pomroczy,

Dźwięk w uszach zamrze, spadnie mgła na oczy,
Nie zagra serce burzą walk namiętną,
Myśl się nie zbłąka pokusą ponętną...
I w grób ponury ciało me się stoczy.

Kres ciała taki!... Kędy duch podąży?...
Czy wstąpi w wieczną krainę błogości,
Zmieniony w postać jasnego anioła?

Czy też na wieki wieków się pogrąży
W przedstworzeniowej chaosu nicości,
Gdzie mrok i zimno panują dokoła?...

1889 r. 13 kwietnia.
Jarowe.

»Są dusze«...

Są dusze, jak strumienie — wartkie i ruchliwe,
Cień bólu, kwiat radości płynie po ich wierzchu,
Co było w dnia poranku, nie pomną o zmierzchu,
Więc są te dusze szczęśliwe.

Są inne — jako studnie! Szczęścia blaski rzęsne,
Mrok nieszczęść chłoną dusze takie do dna;
Niż blaski — częstszą ciemność życia chłodna,
Więc są te dusze nieszczęsne.

1890 r. 15 czerwca.
Sławuta

Jabłoń.

Stoi jabłoń kwieciem strojna,
Bogata w zawiązki:
Będzie jabłek z niej moc hojna,
Okryją gałązki.
Nagle wicher zadął srodze,
Ujrzał jabłoń z kwieciem...
„Po co stoisz mi na drodze?“
Wpadł i sypnął śmieciem
Różowawo-białem, czystem,
Pełnem świeżej woni,
I poleciał w dal ze świstem
Ku innej ustroni.
A nieszczęsna jabłoń z szaty
Została odarta,
Los jej wróżył plon bogaty...
Nic wróżba nie warta!
Lecz czekajcie, patrzcie przecie,
Patrzcie się z uwagą!

Ocalało trochę kwiecie,
Nie jest całkiem nago!
Zwolna kwiat się w owoc mieni,
Jest już jabłek nieco,
To się bieli, to rumieni,
Tamte złotem świecą.
Jutro właśnie przyjdzie pora
Zerwać owoc z drzewa...
Lecz go zbiła do wieczora
Gradowa ulewa.

Jednak jabłoń w nowem lecie
Kwiaty znowu zrodzi...
Och! inaczej w ludzkim świecie,
Gdy zły los w nas godzi.
Trudno wydać kwiat wspaniały
Nowych czuć i cnoty,
Wcielić nowe ideały
W czynów owoc złoty.
Chrońmy tedy żar młodzieńczy
W tej ziemskiej podróży,
Czy nas życie cierniem wieńczy,
Czy piorunem burzy!

1890 r. 29 czerwca.
Sławuta.

Pytanie.

Człowiek jest jako strzała puszczona z cięciwy,
Zkąd? dokąd dąży? — nie wie i nie zgadnie,
A nim się spójrzy, jako strzała padnie,
I na zawsze pożegna życia tego niwy.

Jest łucznik, co wypuszcza z łuku strzałę celną,
Lecącą czas krótki w nadanym kierunku:
Czyż człowiek, który duszę ma mieć nieśmiertelną,
Jest dziełem prostego, ślepego trafunku?

1890 r. 30 czerwca.
Sławuta.

SONETY UKRAIŃSKIE.

Jarowe.

W kraju, gdzie niegdyś broili pohańce,
Gdzie Taszłyk niesie wody do Taśminy,
Ze szczytu blizkiej mogilnej wyżyny
Spoglądam nieraz za dalekie krańce.

Wkoło mnie mogił zadumanych szańce,
Wiatr śpiewa dawnych bohaterów czyny,
Wstaje przedemną przeszłość Ukrainy
I krwawe ludów wojowniczych tańce.

Wtem dzwon się budzi na cerkiewnej wieży
I myśl ku życiu obecnemu zwraca:
Widzę lud krzepki, dziwnie urodziwy,

Nie zrywający z naturą przymierzy,
I wioskę cichą, którą pług zbogaca,
Szumiące łany, chlebodajne niwy.

1889 r. Dzień pierwszy Zielonych Świąt. 28 maja.
Jarowe.

W hamaku.

Lubię w hamaku leżeć zawieszony
Pod baldachimem dwu lip gałęzistych,
Od grotów słońca skwarnego ognistych
W namiocie z liści doznawać ochrony.

W konarach brzęczy rój pszczół niestrudzony,
Pijący krople aromatów czystych,
A tam! w błękitach, na tle przepaścistych
Niebios wędrują chmurek legiony.

W on czas mej duszy łagodnieją znoje
I milkną serca mego niepokoje,
Pod czołem wstają marzeń cichych roje.

I przepływają jedne za drugiemi,
Jak gwiazdy nocne, lecące ku ziemi,
Wabiące oczy blaskami złotemi.

1889 r. 12 czerwca.
Jarowe.

W polu po deszczu.

Słońce u schyłku... Upadł deszcz niewielki...
Zawisła czysta, kryształowa rosa
Na łanach pełnych obfitego kłosa
Pszenicy bujnej, kraju żywicielki.

W kędziorach owsa — brylantów kropelki...
Skowronek szybciej pomyka w niebiosa,
Rozbrzmiewa piosnka jego srebrnogłosa,
I kwiatek polny ucieszył się wszelki.

Bydełko — chciwe oświeżonej trawki —
Skubie ją raźniej; zaś tam, kędy skrawki
Lasu widnieją, piękna klacz się pasa,

A źrebię wesołe wkoło niej hasa,
I żwawiej śpieszą parobki i dziewki
Skończyć robotę, a rozpocząć śpiewki.

1889 r. 14 czerwca.
Jarowe.

»Wyście mnie miłe!«...

Wyście mnie miłe, ukraińskie pola!
Miłe bezbrzeżne wasze widnokręgi,
Szerokich łanów różnobarwne wstęgi,
I tchnienie miękkie, lub groźna swawola

Wiatrów — lecących z królestwa Eola!...
Miłym mi lud wasz i piękny, i tęgi,
I ludu tego spocone siermięgi,
I jego cicha, pokojowa rola,

Jego chrześciańsko-pogańskie obrzędy,
Jego zwyczaje i jego legendy,
I umysł dziecka, a siła olbrzyma,

I ta wytrwałość, co słońca czekając,
Ani się skarżąc, ani narzekając,
Wiernie się piędzi ziemi świętej trzyma!...

1889 r. 17 czerwca.
Jarowe.

Nad Taszłykiem.

1.

Spokojnie wód swych toczy Taszłyk zdroje,
Czasem kamieni staje mu zawada,
Więc głośniej dźwięczy jego fal kaskada...
Oczeret[1]) słucha, z nim białe powoje,

Co go oplotły w przyjacielskie zwoje.
Chwilami rybka wyskakuje rada,
Na brzozę wilga lotem chyżym spada,
Ozdobna w piórek jasnozłote stroje.

Przy brzegu jednym stoją tam jabłonie,
Lasek na wzgórzu jest po drugiej stronie,
A na nim cieniów nęcących kotary;

Zaś w szmaragdowej, świeżej młodzi gronie
Dąb rozłożysty — zwieszając konary —
Młódź błogosławi — patryarcha stary...

[1]) Oczeret — trzcina.

1889 r. 18 czerwca.
Jarowe.

Nad Taszłykiem.

2.

Są nad Taszłykiem szarej skały głazy,
Mchów je brunatnych kraszą aksamity,
Wkoło nich dziewann szczerozłote kity
I bladoróżowe wkoło nich ślazy.

U stóp ich fale szepcą swe wyrazy
Zagadek pełne, a niebios błękity
I wierzb nadbrzeżnych sturamienne szczyty
W tych falach kąpią własne swe obrazy.

Tam wierzby jednej wystaje rosocha,
A nad nią leci błękitna krasocha [1]...
Tam kulik brodzi i gwiżdże na błocie.

I zimorodek szafirowopióry
Nad strugą mignie w swym bystrym przelocie...
Zawiśnie sokół wysoko u góry.

[1]) Krasocha — kraska.

1889 r. 19 czerwca.
Jarowe.

W przededniu żniw.

Słońca letniego robota codzienna
 I matki ziemi życiodajna praca
Z dniem każdym bardziej pszenicę wyzłaca:
Da owoc niwa — ziarnem zdrowem plenna.

Dziś jeszcze kłosów kłania się las gęsty,
Tu kąkol błyska, ówdzie krasne maki,
Siekierki[1]) modre, miodowe bodiaki,[2])
Śpiew ptasząt słychać i owadów chrzęsty.

Lecz wkrótce inne zabrzmi w polach życie,
Zabrzęczą kosy i zadzwonią sierpy,
Nagrodzi ziemia rolnika sowicie.

I da plon wszystkim: i wieśniaczej świcie[3])
I tym, co stoją na społeczeństw szczycie,
Bo ziemia matka nie zna, co pasierby.

---

[1]) Siekierka = ostróżka.
[2]) Bodiak = oset.
[3]) Świta = siermięga.

1889 r. 20 czerwca.
Jarowe.

Ze wzgórza.

Tu oka mego nie powstrzyma tama,
Tu wzrok mój bieży od końca do końca!
Promienna blaskiem złocistego słońca
Przedemną legła kraju panorama!

Miejscowość bliższą dwu rzek ściska rama,
Wieś u ich zbiegu spokojem dysząca,
Cerkiewka kształtna, krzyżami świecąca,
Dom stary dworu, dworu biała brama.

Dalej pól bezmiar... mogił usypiska...
I cisza!... Jednak... co to?... Ziemi drżenie?...
Czyli z katakumb wstają Scytów cienie?...

Czart harce czyni, lub wiedźmy igrzyska?...
Nie!... wąż ognisty sunie z legowiska
I sycząc, hucząc — kłęby dymu ciska!...

1889 r. 25 czerwca.
Jarowe.

»Ludu wieśniaczy!«...

Ludu wieśniaczy! W każdej życia dobie
Nie znaj, co niebios zagniewanych kary,
Czem dziatek boleść — jęczących w chorobie,
Czem są powodzie i czem są pożary!

W pracy, w igraszkach, w życiu i przy grobie
Bądź pełen ciszy, nadziei i wiary!
Niech ku słomianej twej strzechy ozdobie
Pod nią nie tleją nienawiści żary!

Niech w duszy świeci wieczny blask pogody,
Niechaj ci obce będą zwątpień prądy,
Serca gorycze, umysłu przesądy!

Niechaj się duch twój uszlachetnia młody!...
I bądź ty, jako rudonośna żyła,
Z której się czerpie społeczeństwa siła!

1889 r. 27 czerwca.
Jarowe.

Szum drzew.

W lasku zielonym po co — chyląc czoła —
Szumicie, drzewa?... Sejm to? Czy narada?
Bo jedno pyta, drugie odpowiada,
A dąb — jak prezes — do porządku woła.

Próżno! szum rośnie, szerzy się dokoła...
Drzewa! czy na was spaść ma jaka biada?
Czy was opuszcza luba wam dryada,
Więc się smucicie?... Któż-to pojąć zdoła?...

Lecz ja chcę pojąć... Już nakłaniam ucha!
Już szumy wasze lecą mi do ducha
I rozbudzają w nim czarowne tony —

Waszym podobne!... Wtedy ludzkiej gwary
Zapominając, czuję — pełen wiary,
Że z wami bratnio jestem spokrewniony.

1889 r. 29 czerwca.
Jarowe.

Noc letnia — księżycowa.

Przyszła — odziana w szaty przezroczyste,
I napełniła powietrze świeżością,
I otoczyła świat tajemniczością,
I rozpuściła włosy swe srebrzyste.

I odsłoniła lice uroczyste,
Gwiazd brylantowych świecące jasnością,
I piersi — tchnące aniołów cichością,
W głębiach eteru skąpane i czyste.

Dziwnie urocza! W bogiń majestacie,
W księżycowego blasku dyademacie,
Rzuca na ziemię cienie fantastyczne.

Wyrastające w olbrzymów postacie,
Leje na ziemię fale balsamiczne
I wywołuje czary poetyczne.

1889 r. 1 lipca.
Jarowe.

Żniwa.

Już morzem złota faluje pszenica,
Okryte pola rzeszami mnogiemi,
Zaległa wioska obszary swej ziemi
Wyszedł dziad, baba, wyszła mołodyca[1])

Tu kosarz kosi, w ślad za nim niewiasta
Kłos w snopy wiąże, tam młoda żniwiarka
Tnie sierpem ostrym. Kipi praca szparka:
Jeden za drugim półkopek wyrasta.

A z góry słońce skwarzy i dopieka,
A z czół żniwiarzom płynie potu rzeka,
A jeszcze długo czekać do wieczora.

A tu dziecina w kołyseczce chora...
Nie dziw, że nieraz ze spieczonej wargi
Głos jęknie cichy wyrzutu i skargi.

---

[1]) Mołodyca = młoda mężatka.

1889 r. 3 lipca.
Jarowe.

Na platformie wagonu.

Lecę, a lecę nie na skrzydłach ptaka,
Chyżej od łodzi na prądach topieli,
Od wichronogiej rozpędu gazeli,
Szybciej, niż polot Arabii rumaka.

A ze mną łoskot, szum i wrzawa taka,
Jakbyście łańcuch z bram piekielnych zdjęli
I odgłos kuźni dyabelskich słyszeli
I wrzask męczonej duszy nieboraka.

Lecę — niesiony siłą niewidomą,
Siłą — nad siły zwyczajne ruchomą...
A kiedy nagle las mi staje murem,

Pędzę weń strzałą. Gdy z okiem ponurem
Zdradliwie przepaść czeluścista czeka,
Na most wlatuję, a przepaść ucieka.

1889 r. 7 lipca.
Jarowe.

Krzyż pod lasem.

Pod ścianą lasu w słońcu purpurową
Samotny krzyż wzniósł w górę swe ramiona...
Postać Chrystusa na nim zawieszona
Z głową — wieńczoną koroną cierniową.

Na ustach Zbawcy przebaczenia słowo,
Wzrok swój kieruje, kędy niebios strona,
Rozpostarł ręce — jakoby do łona
Świat chciał przygarnąć, natchnąć siłą nową.

Ten las, szumiący uroczyste hymny,
Ten krzyż, nad którym czasu płynie fala,
Ten Bóg, wiszący na sromotę świata:

Serce przechodnia i duch jego zimny
Napełnia ciszą, od ziemi oddala,
Z wiecznością łączy, z niebiosami brata.

1889. 8 września.
Jarowe.

Jesień.

1.

Gdzieżeście słońca łaski i pieszczoty?
Powietrze jasne? czyste aromaty?
Malachitowe gdzieście drzew ornaty?
Gdzie urok nocy letnich, dni blask złoty?

Gdzieżeście chmurek fantastycznych roty?
Gdzie błękit niebios — w setki barw bogaty,
Jak toń głęboki? Gdzie są polne kwiaty?
Kędy ptak śpiewny poniósł szybkie loty?

Nie masz już lata! Z deszczem i z tumanem,[1]
Z posępnem niebem, nizkiem, ołowianem,
Z wieczorem wczesnym, ze spóźnionem ranem

Zawładła ziemią szara, nudna jesień,
Zniszczyła wdzięk pól, sadów i zalesień
I nam odjęła popęd do uniesień.

[1]) Tuman = mgła.

1889 r. 24 października.
Jarowe.

Jesień.

2.

Zgniewana jesień narzekaniem ludzi,
Raz jeszcze daje pogodniejszy dzionek
I — patrząc słońcem z po za chmur osłonek —
Cieplejszą dłonią świat do życia budzi;

Choć jej łaskami nikt się zbyt nie łudzi,
Choć już odleciał śpiewak pól — skowronek,
Choć mrozów pierwszych bielił się już szronek,
Niepróżno lice uśmiechami trudzi,

Bo ucieszony z fal słonecznych blasku
Na przyźbie[1]) chaty grzeje się dziad stary,
Wnuczęta przy nim bawią się na piasku;

Świergocąc — wróble ulatują chmary,
A pośmieciuszki[2]) dzwonią im do pary,
I sroczka skrzecze w niedalekim lasku.

---

[1]) Przyźba — część chaty zewnętrzna — do siadania.
[2]) Pośmieciuszka — dzierlatka.

1889 r. 29 października.
Jarowe.

Zima.

Klasycznie piękna, jak alabastr biała,
Zasiadła zima w sopleńców koronie
Na wyrzeźbionym z brył lodowych tronie:
Pokornie słucha ją przyroda cała.

Gdy chce, atomów błyszczy gra wspaniała,
W powietrzu każdy jako brylant płonie;
Gdy chce, w srebrzystym lasy stają szronie;
Gdy chce, powolnie sunie chmur nawała,

Edredonowe niosąc z sobą puchy;
Gdy chce, wypuszcza na świat zawieruchy;
Gdy chce, przy słońcu stawia w ogniach słupy,

Lub na szkle okien kładnie arabeski...
Ale jest głuchą na sieroce łezki
I nieraz z ludzi zdziera hojne łupy.

1889 r. 25 listopada.
Jarowe.

Lirnik ukraiński.

Z chłopięciem chodzi od wioski do wioski,
Z torbą przez plecy, a z lirą u boku...
I dni i noce toną dlań we mroku,
Na czole wyraz ma zastygłej troski.

Przy dźwiękach liry śpiewa pieśni głoski
O Bogu, prawdzie, o śmierci wyroku,
A lud go widząc w ślepoty uroku,
„Człek Boży!“ mówi — „nad nim — palec Boski“.

„Człek Boży!“ mówi i w sercu się waży,
I przypomina, czem jest niebu dłużny,
I lirnikowi udziela jałmużny,

I łza zabłyśnie na niewieściej twarzy...
Tak w ludzie prostym, co zna chleb powszedni,
Ślepiec blask wznieci i w duszy rozedni.

1889 r. 27 listopada.
Jarowe.

Zamieć.

Z dalekich krain mroźnego Arktyku
Na nasze ciche spadła zamieć łany,
To jako olbrzym zatacza się pjany,
To leci groźnie w atakowym szyku

I — brzmiąc pobudką bojową okrzyku
Na ukraińskie wzlatuje kurhany,
A uderzając w ich odwieczne ściany,
Wybucha głosem niedźwiedziego ryku.

Śnieg miecie! Ze dnia czyni noc białawą,
W której nie przejrzą wilcze nawet ślepie...
Świat napełniając chaotyczną wrzawą,

Sama wszechwładnie szaleje po stepie;
Od niej zwierz dziki kryje się w wertepie,
W gęstwinie leśnej, lub podziemnym sklepie.

1890 r. 9 stycznia.
Jarowe.

»Chrystus zmartwychwstał!«

„Chrystus zmartwychwstał!“... „Zmartwychwstał
[zaiste!“
Dźwiękami słów tych szumi wieś radosna
Niesie je rzeka, z niemi idzie wiosna...
Tak — co czasowe i co wiekuiste:

Bóg, lud, przyroda w sprzymierzenie czyste
Łączą się dzisiaj... Chwila tak miłosna!
Niech jej nie zmąci żadna myśl zazdrosna
Ty jej błogosław, dobry Jezu Chryste!

Dziś się odzywa miła pieśń wiośnianek [1])
Dziś lud się wita — przodków swych zwyczajem
Pocałowaniem i kraszonem jajem,

Więc mu błogosław, Chryste urodzajem,
A gdy nasycisz chlebem nasz zaścianek,
Racz mu dać słońca duchowego ranek!

---

[1]) Weśnianky — wiośnianki, jeden z licznych zabytków mitologii słowiańskiej z czasów przedchrześcijańskich, obrzędowe pieśni na cześć wiosny, połączone z zabawami i śpiewane w dniu 25 marca (Zwiastowanie N. M. Panny) i w pierwszym dniu Wielkiejnocy.

1890 r. 1 kwietnia.
Jarowe.

Wiośnianki.

Dzwon się rozlega z cerkwi nieustanny,
Przez wsie, przez pola i rzekami płynie,
I o wesołej niesie wieść nowinie
I brzmi rozgłośnie hasłami hosanny.

Na blizkiej cerkwi igrają równinie
Dziewczęta — rade świątecznej przyczynie
A gry ich proste, a śmiech nienaganny:
We wstęgach maku barw i barw dziewanny.

Hoże, z wiankami kwietnemi nad czołem,
Dzierżąc dłoń w dłoni, same jak wiosenki,
Śpiewając wiośnie chóralne piosenki,

Powolnie krążą wirującem kołem,
Łańcuchem biegną i z rumianą twarzą
Wdzięki młodości i zdrowia kojarzą.

1890 r. 1 kwietnia.
Jarowe.

Modlitwa Wielkanocna.

Zmartwychpowstałeś, dziś o Chryste Panie!
Niech więc za Twoim wzorem i przewodem
Po nad ludzkości potępionym rodem
Wszelka zdeptana prawda zmartwychwstanie

Zamieni w radość wdów i sierot łkanie!
Niech zbrodnie przejdą, pójdą cnoty przodem!
Nad wioską skromną, nad wspaniałym grodem
Niech spodziewanych błyśnie zórz świtanie!

Niech myśl, co w ducha pustyni marnieje,
Dziś się ożywi i w czynach odrodzi!
Niech się uzdrowi każde serce chore

I w resztę chorych balsam miękki łeje,
A nienawistne, które w brać swą godzi,
Niechaj miłością bliźniego zagore!...

1890 r. 1 kwietnia.
Jarowe.

Wiosna.

I znów w uroków najświeższych rozkwicie
Przybyłaś ziemskie nawiedzić przestwory,
Masz pod stopami szmaragdów kolory,
A z czoła sypiesz blaskami obficie;

Żyjącym tworom czynisz milszem życie,
Z niebytu nowe w byt wprowadazasz twory,
Po ziołach rosy rozrzucasz bisiory
I zarumieniasz wschód niebios o świcie.

Gody weselne święcisz dziś z przyrodą,
I w zaślubionej stroju stajesz w sadach,
Na kryształowych wieszasz się kaskadach,

Woń kwiatom dajesz, krasisz je urodą,
I patrząc wkoło z dziecinną pogodą,
Jesteś, jak byłaś, wiecznie piękną, młodą.

1890 r. 18 kwietnia.
Jarowe.

PRZEKŁADY DROBNE Z ROSYJSKIEGO.

Szatan.

(Puszkina).

Gdy w one czasy był mi nowy
Młodości świeżej wrażeń świat,
Wejrzenia dziewic, szum dąbrowy,
Słowika głos i każdy kwiat;
Gdy uczuć szczytnych los podniosły,
Wolności, sławy dźwięczny śpiew
Wysoko serce moje niosły,
I falowała w żyłach krew:
Zły jakiś genjusz potajemnie,
Rzucając w duszę chmurny cień,
Zdradliwie zaczął mącić we mnie
Rozkoszy i upojeń dzień.
Z nim smutne były mi biesiady,
Bo jego uśmiech, oka cud
I słów szyderczych zimne jady
Zatruty niosły w pierś mą chłód.

Potoki oszczerstw usta lały,
Nie widział opatrzności sił,
Dlań mrzonką były ideały,
Z piękności, z natchnień jasnych drwił;
Miłości nie znał, ni swobody,
Z skrzywionym zaś uśmiechem lic —
Nie błogosławił on przyrody,
Dobrego w niej nie widząc nic.

1887 r.
Jarowe.

Anioł.

(Puszkina).

W drzwi edenu anioł tkliwy
Opuścił głowę swą promienną,
A szatan chmurny i burzliwy
Nad bezdnią piekieł latał ciemną.

I duch przeczący, duch zwątpienia
Na ducha światła patrzał bacznie,
Mimowolnego rozczulenia
Doznając pierwszy raz nieznacznie.

„Ach, przebacz!“ — rzekł on — „jam cię widział —
I tyś mi jaśniał niedaremnie:
Nie wszystkom w świecie nienawidział,
Nie zawsze wzgarda wrzała we mnie“.

1887 r.
Jarowe.

Prorok.

(Puszkina).

Spragniony chleba duchowego,
W pustyni wlokłem żywot zbrzydły,
Wtem na rozdrożu życia mego
Serafin stanął sześcioskrzydły:
I lekkiem palców swych ujęciem
Mych źrenic dotknął: za dotknięciem
Ocknęły się źrenice wieszcze,
Jak ptak, porwany w strachu dreszcze.
Mych uszu dotknął czarem ręki,
I je napełnił szum i dźwięki;
Jam pojął sfer niebieskich drganie,
I jak wzlatują w górę duchy,
I czem są płazów morskich ruchy
I ziół powolne wyrastanie.
I on do ust mych wnet przenika
I rwie grzesznego mi języka

Pełnego fałszu i próżności.
Więc zbladły wargi me, jak chusta,
A on prawicą krwawą w usta
Wężowej żądło dał mądrości.
I mieczem płatnął pierś na dwoje,
Z niej wyjął serce życiem drżące
I precz odrzucił serce moje,
A włożył ogniem pałające.
Jam był, jak trup, co leży w trumnie,
I Boga głos zawołał ku mnie:
„Proroku, powstań z życiem nowem!
Niech duch mój, co w twej piersi płonie,
Ognistem w świat wybuchnie słowem,
Palącem serca w ludzkiem łonie!“

1887 r.
Jarowe.

Anioł.

(Lermontowa).

Mknął anioł po niebie w czas późnej nocy
I śpiewał pieśń dziwnej mocy;
I miesiąc, i gwiazdy, i tłumne chmury
Słuchały tej pieśni z góry.

On piał o błogości dusz czystych w kraju
Rozkosznych ogrodów raju,
O Bogu piał wielkim — i jego chwała
Uczuciem szczerości brzmiała.

On duszę młodzieńczą niósł w dłoniach swych rąk
Dla świata boleści i mąk,
I w duszy pozostał dźwięk pieśni tkliwy,
Choć bez słów, lecz zawsze żywy.

I długie na ziemi tęskniła lata,
Spragniona lepszego świata,
I pieśni niebieskich cudownej siły
Jej ziemskie nie zamieniły.

1889 r. 4 kwietnia.
Jarowe.

Melodya hebrajska.

(Z Bajrona według Lermontowa).

Dusza ma chmurna. Raźnie, piewco, raźnie!
Oto! weź harfę tę złotą do ręki,
Palce puść po niej biegłe: niech wyraźnie
W strunach jej rajskie przebudzą się dźwięki!
Jeśli nie zgasła nadzieja na wieki,
Ona w mej piersi na nowo zabłyśnie;
Jeśli też kroplę kryją me powieki,
Kropla potokiem z oczu mych wytryśnie.

Pieśń twa niech będzie dzika! Jak mój wieniec
Są mi ciężkimi wesołości głosy.
Mówię ci, piewco: jam też oblubieniec,
Łez chcę, inaczej pierś pęknie pod ciosy.

Goryczą cierpień zdawna już sycona,
Męczy się długo w milczącej boleści;
Groźny kres nadszedł: czara napełniona
Więcej w swych brzegach jadu nie pomieści!

1889 r. 12 kwietnia.
Jarowe.

Modlitwa.

(Lermontowa).

Wszechmocny, wstrzymaj swe wyroki,
Nie zsyłaj na mnie Twojej kary
Za to, że kocham ziemi mroki,
Że piję z namiętności czary;
Za to, że rzadko w duszę wchodzi
Słów świętych Twoich żywa rzeka;
Za to, że po bezdrożach brodzi
Myśl moja od Ciebie daleka:
Za to, że natchnień groźna lawa
Kotłuje w piersi mojej smętnej;
Za to, że uczuć dzikich wrzawa
Z oczu mych jasnych czyni mętne,
I że mi trudno w ziemskiej cieśni.
Ku Tobież wzlecieć ja się boję
I często dźwiękiem grzesznych pieśni
Nie śpiewam, Boże, mocy Twojej.

Lecz zagaś, Stwórco, cudny płomień,
Stos wszechpalący biedne serce,
Przeobraź w nicość ognia promień
I nie daj tleć się i iskierce!
Niech się pozbędę raz pragnienia
Pieśni! Niech twórczość mię porzuci!
Wtedy na ciasny tor zbawienia
Ku Tobie duch mój znów powróci.

1889 r. 18 lipca.
Jarowe.

Prorok.

(Lermontowa).

Odkąd jam z mocy Nieśmiertelnej
Wszechwiedzy posiadł dar proroczy,
Odtąd już były mi czytelne
Grzechami lśniące ludzkie oczy.

Głosić począłem był wyrazy
I prawdy czystej i miłości:
Ciskali bliźni na mnie głazy,
Szaleni gniewem do wściekłości.

Popiołem osypawszy włosy,
Uszedłem z miast z żebraczą laską;
W pustyni mieszkam pod niebiosy,
Jak ptaki karmion Bożą łaską.

Tam przestrzegając Wiecznej Woli,
Słucha mię wszelki żywot ziemi,
I gwiazdy w świetnej aureoli
Za rozkazami idą memi.

Lecz kiedy muszę grodem szumnym
Przez jego mury iść z pośpiechem,
To starce dzieciom nierozumnym
Z zadowolenia mówią śmiechem:

„Patrzcie nań: wzorem niech wam będzie!
Był dumny, z nami się nie godził;
Głupiec! — przez jego ust narzędzie
Głos Boży — twierdził — ku nam schodził.

Patrzcież więc nań uważnie, dzieci,
Jak wasi gardzą nim rodzice,
Jak ma wychudłe, chmurne lice,
Jaką nagością, nędzą świeci!"

1890 r. 20 lipca.
Sławuta.

CZĘŚĆ DRUGA.

FRESKI KRYMSKIE.

I.

Jam poznał ciebie, tytaniczne morze,
Choć długom stąpał po skostniałym lądzie,
Jam się kołysał na wód twoich prądzie,
Przez państw twych płynąc rozległe przestworze.
Przeciwny ziemi, królewski żywiole,
Od wieków wrzący w granic twardych kole,
Dla ciebie ciasnem, dla nas nieskończonem,
Co miotasz gniewnie swoich fal szeregi
Na ziemi martwej strupieszałe brzegi,
Niezadowolon swej potęgi tronem.
I Prometeuszowe rwiesz łańcuchy:
Twe błyski świetne, twe olbrzymie ruchy
Są ludzkiej dla mnie symbolami walki...
I w niej wrą prądów niespojone fale,
Płynące w przyszłość szumnie i wspaniale
Acz nie sięgają po za katafalki.
Choć jednak morze wązkie ma granice,
Nieodsłonięte ludzkość tajemnice,

Jedna i druga w pełni majestatu
Brzmią stentorowym protestu okrzykiem
I niezłamanym trwając wiecznie szykiem,
Ku gwiazdom drogę pokazują światu.

II.

Miło na morskie puścić się odmęty,
Powierzyć morzu duszę swą i ciało,
Powietrze morskie piersią czerpać całą,
Kiedy cię niosą łodzie, lub okręty.
Już dano sygnał! Wyruszył parowiec,
I brzegi ziemi pożegnał wędrowiec.
Dźwiękami marszu zabrzmiała muzyka;
I miasto gwarne pozostaje w tyle,
Świątynie błyszczą w dymów szarych pyle,
Chwilka! i miasto z świątyniami znika,
Topnieją we mgle lądowe granice...
Ujrzałem morza całkowite lice!
Otchłań nademną i otchłań podemną!
Bezmiary morza i bezmiary nieba!
O! tego dawno duszy mej potrzeba,
Lubo się nurzam w zagadkę tajemną!

Przedemną olbrzym i nic poziomego!
Uczuwam w sobie coś nieśmiertelnego,
Co mię porywa, unosi i goni,
I nigdzie żadnej już nie widzę mety,
I myśl ma nakształt świecącej komety
Do najciemniejszych zagląda ustroni;
Tej myśli śmiałym oskrzydlony lotem
Lecę... i nie wiem, czy będę z powrotem.
Przedemną olbrzym i mocarz przedemną!
Świeci spokojem królewskiego czoła,
I zda się na mnie fal swych szumem woła:
„Mierzyć się tobie z olbrzymem daremno!“
Nie sądź, mocarzu! Hamletowe echa
Inaczej szepcą: w łupinie orzecha
Człowiek więziony — królem jest bez granic,
Bo ducha jego żywi moc zwycięska,
Władza potężna, siła czarnoksięska,
Której się nigdy nie pozbędzie za nic.
I patrz! jam słaby, na twym groźnym grzbiecie,
Punkt marny, który lada fala zmiecie,
Myślą jednoczę dwóch obszarów drogi
I podwójnego łączę przestrzeń świata,
Gdyż w jednej chwili dusza ma ulata
Na bezdnie twoje i w niebieskie progi.

Lecz nie chcę dumy: tobie jestem bliźni,
Przyroda jedna siły nasze żyźni.

III.

Parowiec wodę piersią twardą kraje,
A kędy przejdzie, tam się fale pienią,
Malachitowym śladem się strumienią,
Jakoby barwne na morzu ruczaje.
Za parostatkiem z podmorskiej krainy
Skaczą na morze żarłoczne delfiny,
Jeden za drugim czynią wciąż gonitwy,
Bestye zgłodniałe, poszukują żeru,
Zaś wśród cichego fal powietrznych szmeru
Lotne na morze spadają rybitwy.
A zresztą cisza! O, nie!... pozór ciszy!...
Oko nie dojrzy, ucho nie dosłyszy...
Myśl wie, że w morzach dramaty szaleją
Nie gorsze od tych, jakie znam na ziemi,
Skryte odemnie falami morskiemi,
Trwające wieków niezmienną koleją.
Tam rekin czyni straszne spustoszenia
W środku pomniejszych tworów pokolenia,

I tam wieloryb w boleści umyka,
Goniony dziką, delfinową zgrają,
Delfiny w paszczę szybko przenikają
I rwą zażarcie w kawały języka.
Ile chwil życia, tyle też i razy
Wzajem się żrą tam potwory i płazy!...
Morzem i ziemią jedne władną prawa,
Nieestetyczne, szpetne, niemoralne,
Ale konieczne i nieodwołalne:
Historya smutna, bolesna i krwawa!
Chciałbym, lecz praw tych nigdy nie obalę,
A więc na statku płynę w morze dalej!...

IV.

I oto! statek wstrzymał się przed miastem,
I znów mię miejskie dolatują szumy,
I przystań mnogie zapełniają tłumy,
I pełno ludzi z podróżnym balastem.
Z parowca jedna wychodzi gromada,
Zamiast niej druga do parowca wsiada;
Różnotypowe mienią się wciąż twarze,
Jeden się żegna, a inny się wita,

Tu dziecię kwili, tam szlocha kobiéta,
I protestują wiecznie dorożkarze,
A podróżnego odziera, kto może...
Na wierzchu fali widzę lica hoże
Wyrostków lśniących nagich ciał mosiądzem:
O grosz mię żebrzą, szczerząc zdrowe kiełki
Matowo-lśniące, jak istne perełki;
Grosz ciskam w wodę! za srebrnym pieniądzem
Bęc! nura w głębię wyrostki gromadnie,
I nim złotówka na dno morskie padnie,
Jeden zwinniejszy, lub szczęśliwy bardziej
W lot chwyta pieniądz, z wody się podnosi.
Wskazał, wziął w usta i o nowy prosi,
Na rówienników patrząc się w pogardzie,
Bywa, innemu ta zabawa pusta
Jako sakiewkę naładuje usta!

V.

Nie tu był wszakże koniec mej podróży;
Parowiec wkrótce wypłynął z przystani
I niósł mię dalej po wodnej otchłani...
Przyszło mi poznać napad morskiej burzy.

Padł wiatr na morze, naleciały chmury,
Rzuciły w tonie gęsty cień ponury.
Już olbrzym morski marszczy czoło w bruzdy!
Już wiatr się coraz wzmaga! Już z pokładu
Tłum liczny bieży do kajut bez ładu!
Już ryczy morze — pozbawione uzdy,
Jak zwierz zraniony wstaje z legowiska,
Ruchome góry pod obłoki ciska!...
Stugębną paszczę otwierają głębie,
Burzą się groźnie do samego do dna,
I nagle pędzi jedna fala głodna
I chłonie statek w swej żarłocznej gębie...
Lecz wnet wyrzuca... nowe biegną fale,
Jako hyeny, albo też szakale,
I w lwy ryczące mienią się bałwany
I szturmem idą na pożarcie statku
Z ludźmi — blizkimi krótkich chwil ostatku,
I potrząsając białą grzywą piany,
Igrają statkiem, wyprawiają pląsy...
Straszne statkowi ich kapryśne dąsy!
Gdy się tak cieszą wśród morza zamętu,
Podróżnych boleść porywa i trwoga,
Zagląda w oczy śmierć każdemu sroga
I nie masz oddać komu testamentu.

Lecz próżno czyni, kto w rozpaczy woła,
Lub chciałby walczyć: walka nie podoła!
Tak — gdy fatalne w nas uderzą klęski,
Jeden z motyką porwie się do słońca,
Inny rozpacza, lecz cierpliwie końca
Czeka duch silny i prawdziwie męski.
I ani sił swych nie trwoni bezpłodnie,
Ani w rozpaczy nurza się niegodnie.
Na burzę spuszcza czarna noc kotarę...
I w jedność mroku i w jedność chaosu
Świat się zamienił... Huk morskiego głosu;
Noc ciemna w jedną zlały się poczwarę.
Tej strasznej nocy sen odleciał z powiek,
A jednak burzę słaby przetrwał człowiek.

VI.

Nazajutrz niebo świeciło pogodne,
Dzień był spokojny, słoneczny i cichy,
Morze wczorajszej pozbyło się pychy,
I fale gniewne stały się łagodne,
A zrozpaczonych podróżników koło
Znów na pokładzie śmiało się wesoło.

Do celu mego zbliżam się radosny;
Niekiedy wietrzyk lekkim tchnie powiewem,
Przenika w duszę melodyjnym śpiewem;
Zmierzam do kraju południa i wiosny.
Parowiec dotąd płynie już brzegami
Nieświadomego przestrzeń morska mami:
Sądzi: do brzegu podać można dłonie,
Myśli, że pływak będzie tam za chwilę,
Nie wie: brzeg od nas oddzielają mile,
Pływak nim stanie, napewno utonie!
Na brzegach górskie piętrzą się tarasy,
Spadając w morze. Tam odwieczne lasy,
Porastające gór olbrzymie ściany
Zdała się zdają, jakby były mchami...
W środku ich czasem — otulona mgłami
Bieli się postać wyniosłej altany;
Czasem ze starej, granitowej skały
Krzyż cień swój rzuca na spienione wały;
Czasami klasztor w chmurach zawieszony,
Niebiosa bodząc wznosi złote krzyże:
Dalej od ludzi, a do Boga bliżej
Tam żywot pędzi mnich osamotniony.
Nadmorską nieraz ujrzysz tam latarnię,
Ku której statek w czas burzy się garnie.

I częstsze ludzkie stają się siedliska,
Na tle szmaragdów wdzięczą się już wille,
Zapraszając podróżnika mile...
Ostatnia meta mej podróży blizka!
I oto! widok czarownego grodu
W ramach wspaniałych rajskiego ogrodu.
Przedziwne miasto, jak wschodnia hurysa,
Na pół leżąca, na pół obnażona
Wabi mię, nęci do pysznego łona
Nadzieją pieszczot pod cieniem cyprysa,
I jest, jakoby zmartwychwstała Fryne,
Gdy opuściła kąpieli głębinę;
A pod nią barwne ścielą się makaty
Doliny wonnej, zamkniętej górami
Od trzech stron świata, jak gdyby murami,
Od wieków pilnie czyniącemi czaty...
I groźnie stoi łańcuch górski zwarty,
Jeno na morze widok tam otwarty!...
Tam porzuciłem fałszów ludzkich szczudła!
Tam przepędziłem życia chwilek parę!
Tam zanurzając ducha mego czarę,
Nektar czerpałem u przyrody źródła!

VII.

Jam z krajem onym sercem się zespolił.
Więc kiedy duch mój dziś się rozsokolił,
Chociaż daleki — mocą wyobraźni
Żywo znów widzę pożegnany eden,
I w myśli mojej powstaje niejeden
Czar zapomniany i pamięć mię drażni
I do głębiny duszy mojej sięga,
Aż przed oczyma — wrażeń dawnych księga
Staje spisana złotemi litery;
Wtedy otarłszy zapylone karty,
Widzę w niej obraz świeży, niezatarty
Krainy miłej... Mgliste jakieś szmery
Rodzą się w myśli... i dziwo! znów jestem
Owiany gaju cichego szelestem,
I znów nademną szafirów sklepienie,
Z nich słońce hojnie spływa porą dzienną,
A nocą morze, góry ziemię senną
Księżyc przystraja w pół światła w pół cienie.
I uderzają mię wonie magnolii,
Zapach jaśminu, tchnienie centofolii.
Przedemną górska wznosi się gromada,
Szczyt jej najwyższy pnie się w górę dumny,

Na górach sosen ruchome kolumny,
A nad sosnami biegną chmurek stada,
Różnobarwnemi igrając kolory...
Strumień zaś górski rwie się naprzód skory.
I szumią parków zielone namioty,
W nich zwrotnikowe czasem widzę palmy,
I morze śpiewa starożytne psalmy,
I w cień mię zową tajemnicze groty,
I bluszczem gęstym okryte tunele,
I wabią morza ożywcze topiele...
I stoję znowu pod drzewem orzecha,
Którego grube, potężne konary
Są jako pniowe innych drzew filary,
Zaś je okrywa szumnolistna strzecha.
Znów u stóp moich ścielą się winnice,
W nich widzę ludu klasycznego lice.
Zmuzułmaniły go tatarskie wpływy,
Lecz w żyłach jego płynie krew helleńska:
Szlachetnie piękną tam jest tak płeć żeńska,
Jako i młodzian każdy urodziwy,
Lecz nie odsłoni świetnych lic niewiasta,
Chowana w górach, zdaleka od miasta:
Zwyczajem wschodnim osłania ją czadra —
Welon, jak ręcznik długi i szeroki,

Którym zakrywa twarzy swej uroki,
By ręka męska wdzięków jej nie skradła.
I znowu jestem w brudnej tej mieścinie,
Z której ku Polsce i ku Ukrainie
Dzikie rokrocznie leciały lamparty,
W którą, jak potok szalejącym wirem
Z mężów i niewiast i dziatek jasyrem
Nazad pędziły bisurmańskie czarty.
Otom się potknął w tej krainie cudów
O ślad nietylko dziś żyjących ludów!
Są w kraju onym kimmeryjskie trumny:
Czterech płyt z ziemi podnoszą się głazy,
Każda ma ciężar, który wiele waży...
Piąta na wierzchu! Wznosił je lud tłumny,
By królów sławnych przechować tam szczątki,
Cenne relikwie, szacowne pamiątki.
Lecz dziś w nich drobnej nie odszukasz kości...
Tak czasy jedne od drugich się różnią,
Co schowa jeden, następne opóźnią,
Rzadko dla wiedzy, często dla chciwości...
Jaskimowego widzę nory grodu,
Mało znanego schronisko narodu,
A być to musiał naród szorstki, twardy,
Gdy pozbawiony nauki pomocy —

Skały wyżłabiał ręką dzielnej mocy...
Nam niewieściuchom rzuciłby krzyk wzgardy!...
W pobliżu jaskiń na wyniosłej skale
Dziś opuszczone stoi Czufut-Kale,
Jeszcze niedawno pobyt karaima,
Lecz w inne strony penaty i lary
Poniósł wyznawca jeno świętej kary
I tylko stróż tam straż swą wiernie trzyma,
I po ruinach tylko wiatr się szasta
I jako upiór sterczy szkielet miasta.
Znów widzę skał dwu przeciwległe masy,
Zbrojne w kamiennych mocnych skał pancerze,
Grożące sobie, jako dwaj rycerze —
Na śmierć gotowi rozpocząć zapasy.
Nim bój nastąpi, głazów zimnych wnętrze
Mnich, obietnice czyniąc najgorętsze
Obrał za dom swój, wykuł klasztor w głębi
I ascetyczne dla swej braci cele,
W pogardzie mając świata ziemskie cele,
Wszelką skrę ludzką wśród granitów ziębi,
I trapi ciało umartwienia biczem,
Pociesza ducha życiem pokutniczem.

VIII.

Widziałem, jak się rodzi dzień na morzu:
Świt szary górne zajmuje przestrzenie,
A przed nim nocne uciekają cienie...
Budzą się fale w swem przestronnem łożu:
Na kresach wschodnich barwi się rumieniec,
Różowych chmurek płynie w niebie wieniec....
Wtem słońce z morza sunie twarz ognistą,
I — jak zazdrosna o krasę dziewica —
Przegląda w głębiach wdzięki swego lica,
Po nad otchłanią wiszące zwierciadlistą:
Potem krąg słońca w zdrojach wód umyty
Zwolna się wznosi na najwyższe szczyty.
Lecz morze igra wielką liczbą zjawisk
I w każdej dobie ma odmienne fazy.
W południe inne jawi znów obrazy,
Kiedy usypia cichym snem odalisk.
Snu jego jasne pilnują lazury,
Słońce je pieści, lejąc blaski z góry:
Więc całe stoi roztopione w złocie,
Tysiączne na niem drgają gwiazd iskierki,
Jakoby ze dna biegły fajerwerki
I zapalały kropel jego krocie.

W wieczór, gdy słońce się za góry chowa,
Patrzę na morze, widzę — zmiana nowa.
Promienie słońca pożegnały tonie,
Lecz nim ich blaski zagasły ostatnie,
Ślą w chmurce złotej pocałunki bratnie,
By je zaniosła ku nadmorskiej stronie;
A w miejscu innem — przez górską szczelinę
Pada snop światła na morską głębinę
I łódź na drodze spotkawszy rybacką,
Przelewa na nią taki blasków nawał,
Że ją zamienia w złota jeden kawał,
Więc łódź się świeci, jako lśniące cacko.

IX.

Raz — gdy niebieskie pociemniały stropy —
Miast o spokojnym zabiegać noclegu,
Siedziałem cicho u morskiego brzegu;
Bałwany kornie biegły mi pod stopy
I znów wracały do morskiego łona...
Spojrzałem nagle — kędy wschodnia strona,
A tam się dziwne w on czas działy czary:
Rąbek czerwony wyłaniał się z morza,

Stopniowo wschodził na morskie bezdroża...
Rzekłbym, że wodę objęły pożary,
I rzekłbym, rąbek wnet się w wulkan zmieni,
Wyrośnie z morza — w koronie z promieni.
Spytałbym: wulkan kiedy buchnie lawą
I morze ujmie w uściski zarzewia,
Czy go pochłoną głębi morskich trzewia,
Czy morza losem być wulkanu strawą?
Zjawiska wkrótce doczekałem końca:
To się wznosiła krwawa twarz miesiąca.

X.

Ale duch ludzki nigdy nie dość syty,
Więc kiedym poznał morza już widoki,
Wznieść się pragnąłem pod i nad obłoki
I oprzeć stopę tam, gdzie w górę wzbity
Tytan Aj-Petri spogląda w niebiosa...
Ranku pewnego, ledwo złotowłosa
Jutrznia przemogła panowanie nocy:
Tam — kędy orły kryją orląt lęgi,
Kędy żywiołów królują potęgi —
Jużem pośpieszał przy konia pomocy.

Zewsząd mię zimne otoczyły głazy,
A chociaż nieme, własnemi obrazy
O przedwiekowych przewrotach świadczyły:
Tu skała sterczy nakształt obeliska,
Pomniejsze przy niej leżą wieńcem zblizka;
Tam odłam ciężkiej granitowej bryły
Cudem się jakimś zatrzymał nad drogą,
Mija go jeździec, drżąc wbrew woli trwogą;
Głaz dalszy ścianę prostopadłą tworzy,
Otworem ciemnym zionie zpod niej grota,
A jeszcze dalej — mchem porosłe wrota
I sfinks olbrzymi koło ich podnoży:
Nawał form różnych w dzikim nieporządku,
Sam mi mówiący o swoim początku.
Tu niegdyś ziemia jęczała w porodzie,
Z macierzyńskiego rozdartego łona
Ciskając głazów potężnych brzemiona
I skał dziś twardych lawowe powodzie.
W on czas jej głosom jęków wulkanicznych
Wtórował łoskot grotów błyskawicznych,
I biło morze o brzegi falami,
I — potargawszy więzy i kajdany —
Wył orkan, zgrzytał, szalał — rozhukany,
Popiół zaś z dymem osłonił chmurami

Pracę żywiołów i zagasił słońce...
I — jeśli było — znikło, co żyjące.
I dziś tu widok dokoła surowy!
Wśród skał omszonych, pną się sosen drzewa,
Wiatr górski szumi i ostro powiewa,
Wodospad huczy, spadając w parowy.
Niekiedy burza wpada tu z hałasem
I miota w gniewie zielonym szałasem.
I piorunami drzew korony sieka,
I najdumniejsze z korzeniem obala,
I nieraz lasy ogniami zapala;
Płynie po lasach gorejąca rzeka!
I dnia onego, kiedym jechał w góry,
Poranek jasny zasępiły chmury,
Sunęły ku mnie z ponad górskich szczytów
Jedną falangą, jedną zwartą ławą,
Szumiały wewnątrz głuchych szmerów wrzawą
I zakrywając sklepienie błękitów —
Nad głową moją zawisły ciężarne,
Ponure, wrogie, jak płaszcz nocy — czarne.
Jam wstrzymał konia, myśląc o odwrocie,
Ale nadeszły skrzypiące madzary,
Uspokoili mię górscy tatary,
Że dżdżu nie będzie, więc w nowej ochocie

Dążyłem — z koniem zawarłszy przymierze.
I wkrótcem stanął w chmurzysk atmosferze.
Które mi z dołu nocą się zdawały,
Widziane w sobie były tylko szarą,
Wciąż się kłębiącą i wilgotną parą;
Mokre jej płachty moją twarz lizały.
Alem się podniósł i nad chmur siedliska.
Przebyłem górskiej równiny pastwiska.
Koniowi dałem wypocząć w zajeździe,
A sam śpieszyłem nieznanemi szlaki,
Pnąc się po skałach, omijając krzaki,
Tam, gdzie i zwierz się nawet nie zagnieździ.
I otóż, jestem na Aj-Petri szczycie,
Uczuwam serca pośpieszniejsze bicie,
Okrzyk mi z piersi rwie się mimowolny,
Stoję sam jeden nad przepaści głębią,
Podemną chmury, jako puch się kłębią,
W chmur morzu pływa jeno orzeł wolny.
Nie widzę ziemi, ni grodu, ni wioski,
Nie słyszę westchnień, ni żalu, ni troski...
Tu wiatr dmie na mnie jednym silnym ciągiem,
Tu pył kosmiczny dotyka mi twarzy!
Na skończoności i wieczności straży
Tu pogranicznym wznoszę się posągiem!

I z wszechświatową łączę się krainą,
I słyszę, jako świetne gwiazdy płyną...
Sfer Pytagora dobiega mię brzmienie,
Trąca mię skrzydło białego anioła,
Chór duchów lekkich z góry na mnie woła...
I oto, ziemskie opuszczam więzienie
I tam wzlatuję, gdzie jest mgławic droga,
Ujrzeć w niebiesiech Światłotwórcę Boga!

XI.

Do kraju, kędy słońce w swój miłosny
Uścisk ujmuje niebo, morze, ziemię;
Kędy natura ludzkie pieści plemię;
Do kraju, kędy lasy górskiej sosny
Tchną na dolinę wonią swą żywiczną;
Kędy powietrze falą ustawiczną
Niesie w dolinę woń ze strony drugiej,
Zapachem świeżym morza nasyconą;
Kędy dwie wonie wzajem siebie chłoną,
Balsamicznemi płynąc potem strugi;
Do kraju gęstych i rozkosznych sadów,
Kraju granatów, kraju winogradów:

Dążą z nadzieją w suchotniczej piersi
Z twarzą śpieczoną w gorączki rumieńce,
Spragnieni życia śmierci potępieńce,
Dążą niestety! dążą już nie pierwsi
Ale nie każdy z potępionych rzeszy
Do domu wróci, rodzinę pocieszy.
W krainę zdrowia kto przybywa wcześnie,
Ledwo uczuwszy straszliwą chorobę,
Siły odzyszcze... lecz kto spóźnił dobę,
Siebie i swoich zawiedzie boleśnie!
Toż jest nad morzem cmentarne ustronie:
Kupią się krzyże w zacieśnionem gronie,
Stoją pomniki w marmurowej bieli,
I — rozważając grobowców napisy —
Melancholijne dumają cyprysy...
Tam niemal w każdej głuchej, ziemskiej celi
Złożone młodzi tajemnicze pączki,
Nie rozwinięte w dojrzałości strączki —
Śmiertelnym mrozem zwarzone kielichy
Kwiecia wonnego... Tutaj proch młodziana
Skarży się rzewnie... Tu w czas swego rana
Dziewica zgasła śle jęk z grobu cichy.
Młodzieńczej pełni tyle, tyle siły
Wyroki straszne zaniosły w mogiły!
Tyle rodzinnych pociech i nadziei,

Popędów pierwszych w sfery ideału,
Tyle miłości, marzeń i zapału
Zabrał ten cmentarz!... I w czasów kolei
Zabierze jeszcze... Śmierć ma swe kaprysy
I nieraz woli młodociane rysy,
Zabija tego, kto błaga o życie,
Zaś kto już doznał, czem jest życia nędza,
Tego omija i długo oszczędza,
Zanim w grobowe położy ukrycie.
Rzadki tam napis głosi stare lata
Porwanych w strony nieznanego świata.
I opłakują ojce, żony, siostry
Swych drogich, zmarłych w pięknej tej krainie,
Ale czas idzie, rozpacz ciężka minie,
W smutek łagodny zmieni się ból ostry...
Przejdzie i smutek... najbliżsi zapomną!...
I tylko jakiś dech nieśmiertelności
Wiać tutaj będzie powiewem żałości,
I tylko morze piersią swą ogromną,
Jako olbrzymie muzyckie narzędzie,
Na srogość śmierci szemrać stale będzie
I przez lat długich ciągnącą się erę,
Nieraz z wieczności zlewając się echem,
Westchnie na cmentarz potężnym oddechem...
Nieraz zanuci smętne miserere...

I nieraz ryknie strasznych głosów gamą,
Chcąc zmarłych zbudzić, śmierć przerazić samą,
Na wiek ją przegnać z ziemi tej oblicza...
Lecz raz tysiączny przekona się morze,
Iż śmierci groźnej nigdy nie przemoże,
Iż źle swe siły niezmierne oblicza...
I zadrży wtedy na myśl onej chwili,
Gdy się z gwiazdami w nicestwo rozpyli.

1886 r.
Jarowe.

SZATAN

(POWIEŚĆ WSCHODNIA)

LERMONTOWA

Z WYDANIA SZÓSTEGO PRZEŁOŻONA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Posępny szatan, duch zuchwały
Nad ziemią latał górnym szlakiem,
W nim wspomnień roje powstawały,
I otaczały go orszakiem
Dni lepsze, gdy cherubinową
Czystością jaśniał pośród świata,
I kiedy — lśniąc promienną głową,
Pozdrowień niosąc szczere słowo —
Kometa w nim witała brata;
Dni, kiedy grzechem nieskalany,
Żądny wszechwiedzy i mądrości,
Gwiazd koczujące karawany
Z niebieskiej śledził wysokości;
Gdy pełen wiary i miłości,
Syn pierworodny w dniu tworzenia,
Nie znał ni gniewu, ni zwątpienia,

I nie groziło myślom jego
Niepłodnych wieków przemijanie…
Wspominał wiele… i wszystkiego
Przypomnieć sobie nie był w stanie.

II.

Już dawno wlókł w pustyni świata
Skazaniec życie swe samotnie.
Tak wiek za wiekiem mknęły lata,
Tonęły w przeszłość niepowrotnie,
Zmieniane jedne wnet drugiemi;
A on, panując nędznej ziemi,
Zasiewał złe bez przyjemności;
Misterne sztuki jego sidła
Nie spotykały przeciwności —
I czynność złego jemu zbrzydła.

III.

I nad kaukaskich gór szczytami
Wygnaniec raju przelatywał;
Brylantowymi lśniąc śniegami,
Olbrzymi Kazbek świat zadziwiał;

Szczeliny paszcza była nizko,
Jak żmii ciemne legowisko:
To Darjał kręty się ukrywał;
I Terek wiódł tam fal swych szyki,
Jak lew z rozwianym w grzywie włosem,
I ryczał. Słuchał go zwierz dziki;
Huczącym przerażone głosem —
W błękitach ptaki go słuchały;
I chmur złocistych tam gromady
Z południa biegły w dal na zwiady
I ku północy odpływały;
I nad nim skały gęstym tłumem
Chyliły głowy zadumane,
Wód Terekowych dziwnym szumem
Do snu cichego kołysane;
Na skałach groźnie się wznosiły
Potężne baszt zamkowych gmachy,
Z piorunów śpiących dumnie drwiły —
Dzielne kaukaskich gór szyldwachy!
Świat dzikiej pełen był urody
I cudnie pięknym czar przyrody!
Lecz szatan rzucił okiem wzgardy
Na świat stworzony ręką Boga
I został hardym, jak był hardy,
Z nieprzejednanem licem wroga.

IV.

Obrazy innej znów krainy
Zakwitły w krasie żywej czyste:
Rozkosznej Gruzji doliny,
Ustronie szczęściem promieniste!
Kobierce ścielą się wzorzyste.
Jak słupy sterczą tam ruiny,
Strumienie wodę srebrną leją,
Barwne na dnie ich śpią kamyki;
W różowych gajach słodko pieją
Urodę krasnych róż słowiki,
Choć róże ich nie rozumieją;
Jaworów wznoszą się konary,
Wieńczy je bluszcz zieleniejący;
Lękliwy jeleń w czas gorący
Chowa się w chłodny cień pieczary...
Wszędzie przyrody pięknej łaski,
I szum, i gwar, i życia blaski;
W południe palą ognia żary,
Wspaniałych roślin są tysiące,
Aromat rosy! A gdy słońce
Już zajdzie i noc świat pomroczy,
To błyszczą gwiazd promienne oczy,
Jak dziewic Gruzji gorejące.

Lecz świata czary nie wznieciły
W wygnańca piersi niecielesnej
Gry uczuć nowych, nowej siły,
Oprócz zawiści gry bolesnej.
Na wszystko patrzał wzgardy okiem
I oburzony był widokiem.

V.

Szeroki dwór i dom wysoki
Tam książę Hudał wybudował...
Łez ludzkich wiele dom kosztował.
Bo ciężkie sługom są wyroki
Ich panów. Gór sąsiednich stoki
Cień domu zwykle przyjmowały;
Stopnie są w ścianie blizkiej skały,
Wiodące do Aragwy wody;
W rzece tej nieraz nurza wiadra,
Chcąc niemi czerpnąć z fal ochłody,
Tamara — córka księcia. Czadra [1]
Osłania wdzięki jej urody.

---

[1]) Czadra — rodzaj osłony głowy i twarzy kobiet wschodnich, w formie długiego ręcznika. *(Przyp. tłum).*

VI.

W stronę, gdzie słała się dolina,
Patrzał ponury dom ze skały;
Lecz dziś w nim szumi bal wspaniały,
Rozbrzmiewa surma, pachną wina:
Dzisiaj wesele u Hudała,
Przybyła doń rodzina cała.
Na dachu zdobnym kobiercami
Siedzi dziewica narzeczona
Wśród towarzyszek młodych grona;
W grach czas im schodzi. Za górami
Słoneczna chowa się korona.
Dziewice pieją swe piosenki
I przyklaskują im we dłonie;
Tamara bierze do swej ręki
Bęben i wznosząc go nad skronie,
Z jednej ku drugiej kręcąc stronie,
To nagle lżej od ptaka leci,
To znów się wstrzyma i zaczeka...
A rzęsy długie ma powieka,
Rosą wilgotną wzrok się świeci;
To na dół spuści czarne oczy,
To mrugnie brewką na swą drużkę

I po kobiercu ślizga, toczy
Pięknie rzeźbioną, boską nóżkę.
Radości pełna się uśmiecha;
Dziecięca w oczach lśni uciecha.
Z uśmiechem jasnym tego lica,
Jak życie, młodość wesołego,
Ledwo się zrówna gra księżyca,
W strudze ruchomej błyszczącego.

VII.

Klnę się na gwiazd północnych błyski,
Na promień wschodu i zachodu:
Tak dziwnie pięknej odaliski
Nie brał w miłości swej uściski
Nigdy perskiego król narodu;
I haremowych fontann wody
Przenigdy jeszcze, w letnie znoje
Bryzgając swe perliste zdroje,
Nie znały równej jej urody;
Cudniejszych zaś nad jej warkoczy
Śmiertelne nie widziały oczy.
I klnę się, od utraty raju,
Nie kwitła żadna krasawica,

Mająca takie świetne lica,
W południowego słońca kraju.

VIII.

Po raz ostatni dziś pląsała...
Niestety! wcześnie ją czekała
Spadkobierczynię tę Hudała,
Swobodną, rzeźwą i wesołą,
Nic nie wiedząca o serc bliźnie —
Niewola w obcej jej ojczyźnie
I nieznajomych ludzi koło.
Więc często chmurka wątpliwości
Na lica jasne padła mrokiem,
Lecz ruch jej pełen był lekkości,
Wyrazu, wdzięku i skromności,
Gdy się ślizgała tańców krokiem.
I gdyby szatan przelatując,
W on czas swe oczy na nią rzucił,
To dawnych braci swych żałując,
Z westchnieniem wzrok-by wnet odwrócił...

IX.

I szatan widział... Ideały
Życia dawnego w nim zadrgały
I wypłynęły zgasłe mary,
I spadły rosą na pustynię
Serca niemego. I duch kary
Odczuł i pojął znów świątynię
Piękności, dobra i wierzenia,
I długo słodkim tym obrazem
Szatan się cieszył — i marzenia
O szczęściu dawnem wstały razem.
Jakby za jedną druga gwiazda,
Jak duchów napowietrznych jazda.
Przykuty niewidzialną siłą,
Z nową boleścią się zapoznał,
Uczucie zmarłe przemówiło,
Rodzinny język znowu poznał.
Byłaż to chwila odrodzenia?
Szatan fałszywych słów kuszenia
Nie znalazł w myślach mimo chęci;
Zapomnieć?... Nie dał niepamięci
Bóg, i on nie chciał zapomnienia.

. . . .

X.

Na zachód łuk słoneczny gnie się,
Zmęczony rumak jeźdźca niesie;
Pan młody z sercem niecierpliwem,
Z wejrzeniem czystem i szczęśliwem,
Widzi przed sobą brzeg zielony
Aragwy. Za nim objuczony
Ciągnie wielbłądów obóz mnogi,
Już pomęczyły się okrutnie,
I ledwo, ledwo wloką nogi,
Dzwoneczki na nich dźwięczą smutnie...
On sam, dzierżyciel Synodału,
Rzemieniem w biodrach przepasany,
Jedzie na czele karawany;
Rękojeść szabli i kindżału,
I strzelba, co śmierć celnie ciska,
Broń cała — w słońcu świetnie błyska;
I wiatr się bawi rękawami
Czuchy[1]), co spływa w fałdów fale,
Galony zdobią ją wspaniale...
A siodło barwnie jedwabiami

[1]) Czucha — wierzchnie odzienie

Szyte, a uzda z kutasami;
Pod nim koń złoty, cały w mydle,
Lecący szybko, jak na skrzydle;
Swobodne dziecię Karabachu,
Uszami strzyże i w przestrachu
Chrapie i patrzy w głąb z urwiska,
Gdzie rzeka fale swe przeciska.
Tu droga wązka, niebezpieczna:
Na lewo skały, w prawo błyska
Gardzielą straszną topiel rzeczna.
Już późno! Tam, gdzie zima wieczna,
Gaśnie rumieniec; wstały mroki...
Podwoił orszak swoje kroki.

XI.

Oto- kaplicy szczyt się wznosi,
W niej — jak podanie dawne głosi —
Pogrzeban książę, teraz święty;
Zabił go człowiek w złem zawzięty.
Bądź na igrzysko, bądź na bitwę —
Ktokolwiek tędy się kierował,
Zawsze gorliwie swą modlitwę
U stóp kaplicy ofiarował,

A tej modlitwy cudna siła
Od muzułmanów go chroniła.
I tak czyniły dawne rody,
Lecz zwyczaj złamał książę młody:
Zdradliwych sideł swych urokiem
Szatan mu ducha oczarował:
Książę okryty nocy mrokiem,
W myślach swą lubą już całował...
Wtem przed nim cienie dwa mignęły...
I więcej... Wystrzał!... Echa drgnęły!
I powstał książę na strzemieniu,
Nasunął papach[1]) na ciemieniu
I nie dał z ust wylecieć słowu:
Błysnęła w ręku lufa celna,
Spojona z koniem postać dzielna
Leciała z orłem... Strzał padł znowu!
I dziki krzyk, jęk po nim głuchy
Rozniosły echa w tej godzinie...
I pierzchli — jako nocne duchy —
Gruzińcy w strachu po dolinie.

---

[1]) Papach = czapka w rodzaju erywańskiej.

XII.

Ścichło!... Mordercy wzięli łupy
I pozostały w miejscu trupy,
A na nie — w strachu drżąc — patrzały
Wielbłądy — zbite w ciasne kupy.
I w takt dzwoneczki im jęczały.
Złupiona karawana cała,
I chrześcian leżą zimne ciała;
Nad niemi nocny ptak ulata;
Cmentarna ich nie schowa krata,
Ani klasztornych głazów płyty,
Gdzie proch praojców był ukryty;
Nie przyjdą siostry ich z matkami,
Okryte czader osłonami,
Ze smutkiem, łkaniem i modłami
Na groby ich z dalekiej strony!
Lecz za to chrześcian wiernych syny —
Tu! pod tą skałą, u drożyny
Wzniosą na pamięć krzyż święcony...
Gdy przyjdą wiosny narodziny,
Bluszcz krzyż popieści i owinie
Swych liści splotem szmaragdowym,
I pod symbolem Chrystusowym

Wędrowiec — dążąc ku rodzinie —
Odpocznie, krzyża nie ominie...

XIII.

Leci koń — pełen niepokoju,
Chrapie i rwie się jak do boju;
To nagle stanie w całym pędzie,
Rozdziera nozdrzy swych krawędzie
I ogniem z nich płomiennym bucha,
A uchem czujnem wiatrów słucha;
To znów porywa się z kopyta
I z roztrzepaną grzywą — wrzący —
Pędzi szalony i nie pyta...
Na koniu jeździec jest milczący:
Do grzywy końskiej przypadł głową,
Waha się w stronę tę i ową,
I nie kieruje już cuglami,
Zasunął nogi swe w strzemiona,
Krwi zaś czerwonej strumieniami
Czaprak i czucha poplamiona...
Rumaku! pana swego dzielnie
Wyniosłeś z boju, jako strzała,

Lecz osetyniec mierzył celnie,
I kula w mroku go dognała.

XIV.

Hudał z rodziną przerażony!
W podwórzu ciśnie się lud tłumnie:
Czyj koń przyleciał zapalony
I padł na głazy u wrót szumnie?
Kto jest ten jeździec trupio blady
Na czole smagłem, choć nieżywy:
Z bronią skrwawioną i z odzieniem,
Ostatniem dłoni zaciśnieniem
Trzymał się włosa końskiej grzywy...
Nie długoś, ty, narzeczonego
Czekała — piękny mój aniele!
Dotrzymał słowa książęcego
I oto! przybył na wesele...
Ale już konia szalonego
Nie pokieruje ręka jego!...

XV.

Na dom spokojny i bez troski —
Jak piorun — spadła straszna kara;
Odczuła ciężko wyrok Boski,
Płacze na łożu swem Tamara;
I łza za łzą po licach płynie,
Jej pierś wysoko, ciężko dyszy...
I oto! nagle niby słyszy
Czarowną mowę gdzieś w wyżynie:
„O, nie płacz, dziecię! Rosą wody
Żywej twa łza na trupie lody
Nie spadnie, tylko zamgli jasne
Twe oczy i blask zgasi młody...
Jej żarem spalisz lice własne!
Dziś on w dalekich sfer przezroczu;
Nie dojdą doń twych smutków wieści.
Wzrok bezcielesny jego oczu
Niebieskie światło teraz pieści;
On słyszy chórów rajskich dźwięki...
Czem dlań ból ziemski i radości,
Dziewicy smętnej łzy i jęki,
Kiedy szczęśliwy w raju gości?
O mówię ci, istocie biednej,

Wierzaj mi, losy ziemskiej treści
Nie warte są chwileczki jednej
Żalu twojego i boleści!
„W napowietrznym oceanie,
I bez żagli i bez steru,
Płyną w zgodnej karawanie
Gwiazdy w pośród fal eteru.
Gdzie pól obszar nieskończony,
Bez podstawy i sklepienia,
Błądzą chmurek miliony —
Tak powiewnych, jak marzenia.
Żal rozłąki, czar witania
Chwilki wśród nich nie zagości.
I nie mają pożądania
Ni przeszłości, ni przyszłości.
Gdy w pierś twoją godzą ciosy,
Kipi boleść w niej namiętna,
Przypomniawszy chmurek losy,
Bądź — jak one — obojętna!
„Jak tylko noc na Kaukaz mrokiem
Padnie i szczyty gór zaleje;
Jak tylko świat, jej słów urokiem
Oczarowany, zaniemieje;
Jak tylko wietrzyk po nad skałą
Roślinką zakołysze małą,

I ptaszek, co się chował w trawie —
We mroku śmielszy — frunie żwawiej,
I pod zielonym winogradem
Pijący rosę łonem radem
Kwiat nocny wzniesie swe kielichy;
Jak tylko miesiąc złoty, cichy
Twarz swą wynurzy z gór załomu,
Na ciebie spójrzy pokryjomu:
Ku tobie skrzydeł lot rozwinę
I na twe rzęsy jedwabiste
Sny będę wiewał pozłociste,
Nim z jutrznią w stronę swą odpłynę"...

XVI.

Umilkły słowa i zamarły,
Jeden za drugim przeszły dźwięki...
Zrywa się biedna, pełna męki
I patrzy... w piersi jej się zwarły
Uczucia smutku, strachu jęki
I zachwyt... ognie serce żarły,
Spadając burzą na duch miękki.
Jej dusza rwała pęt okowy,

W jej żyłach piorun przelatywał,
I głos ten dziwnie dla niej nowy
Bez przerwy, ciągle się odzywał.
I już nad ranem — snu ochocza —
Zmęczone oko zasklepiła,
Lecz we śnie znowu ją wzburzyła
Mara nieznana i prorocza:
Przybysz milczący, niemy, mglisty,
W nieziemskiej krasie uroczysty —
Stanął u łoża cichym krokiem
I patrzał na nią takim wzrokiem
Rzewnego smutku i miłości,
Jak gdyby pełen był żałości.
To nie był anioł-stróż, obrońca,
Nie niebieskiego postać gońca:
Wieniec promienny i tęczowy
Nie zdobił świetnie jego głowy;
To nie był piekieł duch niesforny,
Męczennik grzeszny i w złem mocny,
Ale był jako brzask wieczorny:
Ni światło dzienne, ni mrok nocny.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

O, przebacz, ojcze, swej Tamarze,
Zaniechaj gniewu raz twojego.
Ja sercu milczeć nie rozkażę,
Nie płaczę z żalu daremnego...
Napróżno do nas tłumną rzeszą
Piękni młodzieńce przybywają...
Czyż w Gruzji dziewic już nie mają?
Nie będę żoną. Niech nie śpieszą!...
O, nie bądź, ojcze, tak surowy!
Tyś sam już spostrzegł: każdy nowy
Dzień niesie sercu nowe blizny,
Jam jest ofiarą złej trucizny!
Niepokonaną marą targa
Mnie duch zły — ciężka moja skarga!
W klasztorne powiedź córkę progi,
Tam nie dostąpi mię pokusa

Tam się pozbędę serca trwogi,
Tam mię obroni moc Chrystusa.
Nie zaznam w świecie już wesela...
Niech więc świętego gmachu cisza,
Niechaj zawczasu smutna cela
Przyjmie mię, jak grobowa nisza".

II.

I za rodziny tęsknej zgodą
Poszła w klasztorny gmach dziewica:
Jej kibić cudną, jej pierś młodą
Okryła gruba włosiennica.
Ale i mniszki proste stroje,
Jak i złotogłów przedtem drogi,
Nie zażegnały grzesznej trwogi:
W jej sercu wrzały niepokoje.
I przed ołtarzem, wśród powodzi
Świateł i śpiewów uroczystych,
Często w pośrodku modlitw czystych
Jej uszu znany głos dochodzi.
Wznosił się obraz znanej twarzy
U kapiteli kolumnady,

Dźwięk go nie zdradzał, ani ślady;
W mgle woniejącej trybularzy
Świecił jak gwiazda cichą nocą,
Wabił i wołał... Ale po co?...

III.

Pomiędzy dwoma pagórkami
Ściany skrywały się klasztoru,
Zamknięte były szeregami
Topoli drzew i drzew jaworu.
Gdy mrokiem gęstym noc spadała,
W oknach za kratą mniszki drgała
Lampa wśród ciemnych fal przestworu.
Migdałów drzewa cień rzucały,
I stróże grobów — krzyże stały
W milczeniu niemem i ponurem;
Chór ptasi śpiewał z drugim chórem;
A po kamieniach w szumnej grozie
Źródeł chłodzących dźwięczne fale
Leciały — skacząc, i przy skale
Łącząc przyjaźnie prąd w wąwozie,
Pędziły dalej w inne strony,
Wśród krzów, ozdobnych w kwiatów szrony.

IV.

Na północ gór widniały ściany.
Gdy jutrzni wschodzi brzask różany;
Gdy — napełniając głąb doliny —
Obłoczki sine się unoszą,
I z licem na wschód — mueziny
Ludowi chwilę modlitw głoszą;
Gdy już się dzwonu głos rozlega
I drżąc w spokojnej rannej porze —
W dolinie falą się rozbiega,
Echem odbija się w klasztorze;
Gdy cudnie marząc o kochanku,
Gruzinka, schodząc z gór krużganku,
Idzie, by przynieść wody w dzbanku:
W chwilę pięknego tak poranku
Gór łańcuch wznosił pod błękity
Jasno-liliowe, śnieżne szczyty.
A w czas zachodu blask różowy
Spływał na Kaukaz. Wtedy góry
U stóp swych mając, na ich głowy
Spoglądał Kazbek z ponad chmury,
Ozdobny w turban, w złotogłowy.

V.

Ale Tamarę myśl przestępna
Dręczy; jej dusza niedostępna
Zachwytom czystym. Piękność świata
Przed nią się zjawia w smutku kirze;
Nie bawi jej w rozpaczy wirze.
Ni ranku brzask, ni nocy szata.
Bywało, ledwo z nocą razem
Na ziemię świeżość zstąpi rzeźwa,
Już ona padnie przed obrazem
W szaleństwie uczuć swych nietrzeźwa
I płacze; wkoło cisza głucha,
Jej pierś jękami wciąż wybucha...
I drżąc — podróżnik pilnie słucha
I myśli: „to duch górski jęczy,
Przykuty mocno do pieczary!“
I wnet kopytem rumak dźwięczy,
Bo jeźdźca gonią strachów mary...

VI.

Często — w tęsknocie smętnej blada —
Tamara koło okna siada —

W myśleniu niemem pogrążona
I patrzy w dal osamotniona;
Tak cały dzień czekając — wzdycha...
„On przyjdzie!“ mówi jej ktoś z cicha.
Niedarmo miała sny radosne,
W których się zjawiał duch powiewny;
Niedarmo oczy miał żałosne
I głos tak cudny, taki rzewny!
Już dawno dusza jej w rozterce,
Choć nie wie sama: skąd?... dlaczego?
Do świętych modli się, a serce...
Serce jej modli się do niego.
Zmęczona walką tą bez końca —
Już się pochyla na swe łoże,
Lecz wnet się zrywa — cała drżąca —
I uspokoić się nie może:
Gorąją plecy, pierś się wznosi,
Tchu braknie, oczy zamierają,
Ciało uścisków szuka, prosi,
Na ustach pocałunki tają...
. . . .
. . . .

VII.

Pagórki Gruzji i doliny
Już mgłami okrył płaszcz wieczorny;
Pod klasztor przybył w odwiedziny
Szatan potrzebie swej pokorny,
Lecz długo, długo duch niesforny
Świątyni ciszy i pokuty
Naruszyć nie śmiał; w te minuty
Już gotów był — jak się zdawało —
Porzucić zamiar swój okrutny;
Koło klasztoru brodzi smutny,
A serce żądzą w nim pałało;
Od kroków jego drżą drzew liście.
Wzniósł oczy; widzi w jej pokoju
Lampę płonącą promieniście;
A ona czeka w niepokoju.
I wśród milczenia powszechnego
Słychać czyngara[1]) brzęczącego
Dźwięk... tony pieśni się rozległy,
Za nimi inne biegły, biegły,
Jak łzy spokojnie i miarowo;
Były to takie dźwięki pieśni,

---

[1]) Czyngar = rodzaj gitary.

Jak gdyby dla tej ziemskiej cieśni
Stworzyć je mieli niecieleśni.
Może to anioł, — chcąc na nowo
Odrodzić w druhu przyjaźń starą,
Przeszłości dzieląc się z nim marą,
Napełnił celę pieśni gwarą,
Żeby osłodzić mu cierpienie?...
Jej miłość smętną, jej wzburzenie
Raz pierwszy pojął duch pomroku...
Chce lecieć: skrzydło się nie rusza!
Do głębi trwoży się mu dusza...
I cudo! błysła kropla w oku,
W oku, co łzą się nie zaprósza...
Po dziś dzień widać koło celi
Kamień na wylot przepalony,
Piorunem łzy tej wydrążony...
Łzy takiej ludzie nie przelali!

VIII.

Już wchodzi; kochać świat gotowa
Dusza — dla dobra w nim otwarta;
I myśli: oto! chwila nowa,
Przyszłość w niej cała jest zawarta!

I uczuł w sercu duch zuchwały
Niemiły dreszcz oczekiwania,
Strach niepewności oniemiały,
Jakoby w pierwszy raz spotkania:
Złe wróżby duszę mu zalały...
I wszedł do celi już nakoniec;
Przed nim — cherubin, raju goniec,
Obrońca jej i jej pociecha,
Koło niej stoi z czołem jasnem
I nie po ziemsku się uśmiecha
I ją osłania skrzydłem własnem...
I promień światła anielskiego
Oślepił nagle wzrok nieczysty,
Zamiast witania uprzejmego —
Zawołał anioł uroczysty:

IX.

„Duchu występny, w grzechu mocny...
Kto wołał ciebie w mrok północny
I kto cię przysłał tu na zwiady?
Tu złe przenigdy nie gościło,
Świątynię sercu memu miłą
Opuść i wychodź — rad, nie rady,

I niech zaginą twoje ślady!“
Szatan uśmiechnął się zjadliwie
I błysnął okiem nienawiści,
Znów zapałała w nim złośliwie
Skra dawna zemsty i zawiści.
„Moją jest!“ rzekł do niebios gońca,
„Nad piekieł stoi już brzegami,
Przybyłeś późny jej obrońca,
Nie jest ci danym sąd nad nami.
Na pierś jej grzeszną moje ręce
Pokładły pieczęć nieśmiertelną!
Świątyni twojej niema więcej;
Tu ja mam władzę niepodzielną!“
I anioł oczu smętnych wzrokiem
Na nią raz jeszcze spojrzał szczerze,
I zwolna skrzydłem swem szerokiem
Wionął i stopił się w eterze...
. . . .

X.

TAMARA.

Mowa twa pełna okropności!
Kto jesteś: piekieł duch, czy nieba?
Czego chcesz?

SZATAN.

Tyś jest cud piękności!

TAMARA.

Lecz ktoś ty? kto?... mów! czego trzeba?

SZATAN.

Jam ten, któregoś ty słuchała
W cichości mroków, w nocnej dobie,
Myśl moja w duszy twej szeptała;
Mój smutek przez mgłę tyś widziała,
Mój obraz blady miałaś w sobie;
Jam ten, czyj wzrok nadzieję gubi,
Ledwo nadzieja ta zaświta;
Jam ów jest, który tem się chlubi,
Że każdy go przekleństwy wita.
Podemną gwiazd mkną korowody;
Jam biczem krwawym ludzkiej ziemi
Jam król wszechwiedzy, król swobody,
Jam niebios wrogiem, złem przyrody,
I widzisz — jam pod stopy twemi!
I jam ci przyniósł rozrzewnienie,
I łzy, i modlitw ciche jęki,
I pierwsze ziemskie me cierpienie,
I pierwsze duszy mojej męki...

Chciej pojąć gorzkich słów zwierzenie!
Niebiosom może mię powrócić
Miłości twojej żywe słowo
I natchnąć pierś mą siłą nową,
Szatańską dumę precz odrzucić,
W pokorę zmienić aniołową.
Niewolnik, w ciebie tylko wierzę!
Do ciebie pierwsze ślę pacierze,
Do ciebie pierwszy głos błagalny!
Dla ciebie duch mój niezniszczalny
Śmiertelną szatę przyjmie szczerze!
Gdym ciebie ujrzał, mimowoli
Uczułem w sobie skrę zazdrości;
Opuścić ciebie?... nie! tej roli
Nie spełnię w żarze namiętności!
I oto! przyszła dziś godzina:
W bezkrwistem sercu buchnął płomień,
Syknęła zmarła w niem gadzina,
Zapałał stosem iskry promień!
Bez ciebie czas czem nieskończony?
Czem dóbr mych obszar niezmierzony?
Świątynią pustą, zgasłym zniczem,
Zamarłym dźwiękiem... zgoła niczem!

TAMARA.

Opuść mię, duchu fałszywości!
Zamilcz, nie wierzę mowie wroga!
Ja pragnę modlić się do Boga,
A ty mię wikłasz w sieć chytrości...
Będę ofiarą twojej zdrady
Tyś myśl słabnącą opanował;
Twe słowa — to ogniste jady...
Po coś mnie biedną umiłował?

SZATAN.

Po co — o, piękna? Nie wiem tego.
Ale z przestępnej mojej głowy,
Czując prąd życia świetniejszego,
Zerwałem wieniec mój cierniowy
I w proch rozbiłem gmach przeszłości;
Me piekło, raj mój w tobie gości!
O! kocha cię nieskazitelną
Miłością dusza moja wolna,
Istotą całą nieśmiertelną...
Dusza twa kochać tak nie zdolna!
Znam cię przez wieków długie lata,
Widziałem cię, jak widzę ninie,
Przez eterycznych sfer pustynie
Płynącą na początku świata.

Już dawno — trwożąc serce biedne —
Imię twe słodkie mnie dźwięczało;
W dni szczęścia, w raju ciebie jednej
Duchowi memu brakowało.
Ty nie zrozumiesz: duch swobody,
Znosiłem gorzkie umęczenie
Przez szereg wieków, nieskończenie,
Nie oczekując w złem nagrody,
Nie mając w dobrem krzty osłody,
Czując i rozkosz i cierpienie;
Musiałem sam się sobą nudzić,
Tą walką wieczną wciąż się trudzić,
A niosąc wieków potępienie,
Żałować ciągle i nie pragnąć,
Znać wszystko, wszystko czuć i widzieć,
Wbrew woli wszystko nienawidzieć
I do niczego się nie nagiąć!...

Zaledwo losy się spełniły,
I wyrok Boski zabrzmiał z góry,
Wnet mię na wieki opuściły
Ramiona świata i natury...
W mgle siniejącej przestrzeń stała;
Ujrzałem w on czas, jak wspaniała
Dawno mi znanych gwiazd gromada

W wieńcach weselnych wśród wszechświata.
Płynęła... lecz dawnego brata
Nie chciała świetna znać plejada!
Wygnańców, losy me dzielących,
W rozpaczy, ja nawoływałem,
Lecz słów ich, oczu złością skrzących
Niestety! sam nie poznawałem.
I rozwinąłem skrzydła w strachu,
Leciałem w przestrzeń bez otuchy...
W nieskończoności płynąc gmachu,
Mnie omijały bratnie duchy,
I raj i świat był niemy, głuchy.
Tak — ster straciwszy, łódka płynie
Podczas szumiących fal wzburzenia,
Niepewna swego przeznaczenia,
Czy ocaleje, czy zaginie.
Tak — gdy brzask ranny muska góry,
Samotny odłam grzmotnej chmury,
W lazurów wznosząc się otchłani,
Niepewien zgoła swej przystani,
Bez celu i bez śladu goni,
Bóg wie, do jakich sfer ustroni!

Ludźmi nie długo kierowałem,
Zakułem łatwo ich w obroże,

Wszystko — co piękne — zniesławiałem,
Szlachetne wiodłem na bezdroże.
Nie długo! płomień czystej wiary
Jam w nich zagasił... Mojej pracy
Czyż warci byli ci prostacy,
Lub obłudnicy, godni kary?
I skryłem się w wąwozów nory,
Brodziłem, jako meteory
W głębokiej nocy gęstym mroku...
I pędził jeździec z strachem w oku,
Ognikiem blizkim uwiedziony,
I w bezdnię z koniem zawalony
Napróżno wołał — i ślad krwawy
Brzegi przepaści przyjmowały...
Ale złośliwe te zabawy
Nie długo mi się podobały.
W walce z potężnym huraganem,
O! jakże często, wznosząc kurze,
Z czołem — piorunem przepasanem —
Leciałem szumnie w czarnej chmurze,
Chcąc w żywiołowych burz szermierce
Natrętne myśli swe zagłuszyć
I szemrające stłumić serce
I samą pamięć zawieruszyć!
Czemże są ludzkie utrapienia

I nieszczęść ludzkich opowieści
Od pokolenia w pokolenia
Przed chwilką jedną mej boleści
Nieuznanego udręczenia?
Czem ludzie? Życie ich co znaczy?
Ten śmierć już widział, ten zobaczy!
Sąd choć potępi, to przebaczy;
Jest miłosierdzie, są nadzieje!
A mnie zrozumieć nikt nie raczy,
I smutku pełne są me dzieje!
Smutek ten zawsze, każdą chwilę,
To jako wąż się pieści mile,
To pali, to znów skrą omamień
Świeci, to cięży — jako kamień —
I jest jak pomnik na mogile,
W której zamarło pragnień tyle!

TAMARA.

Po cóż mam wiedzieć o żałobie,
Nawiedzającej cię smutkami?
Zgrzeszyłeś...

SZATAN.

Czy przeciwko tobie?

TAMARA.

Nas słyszeć mogą...

SZATAN.

My tu sami.

TAMARA.

A Bóg?

SZATAN.

Na niebie!... Bóg spójrzenia
Nie rzuci na tę ziemię ciemną.

TAMARA.

A piekło? Męki potępienia?

SZATAN.

Więc cóż? Tam będziesz razem ze mną!

TAMARA.

Ktokolwiek — o! przygodny druhu,
Jesteś: słuchając męczennika,
Ja czuję rozkosz tajną w duchu,
Choć zamęt myśli me przenika.
Lecz jeśli mowa twa fałszywa,
Jeśli masz zamiar samoluba...
Miej litość!... O ja nieszczęśliwa!
Na co ci duszy mojej zguba?
Czyż niebo dla mnie jest łaskawsze,
Żeś spostrzegł mię w szeregu innych,

Żeś wybrał oczy moje łzawsze?...
Równie mnie piękną znajdziesz zawsze
Wśród dziewic czystych i niewinnych!...
Nie! daj mi słowo przyrzeczenia...
Powiedz! wszak widzisz me cierpienia
I widzisz smętne me oblicze!
Strach we mnie pieścisz mimowoli...
Lecz ty nie zechcesz mej niedoli,
Tyś pojął moje sny dziewicze!
Klnij mi się, że pożądań złego
Raz się zarzekasz najgoręcej!
Czyliż już nienaruszonego
Słowa przysięgi niema więcej?...

SZATAN.

Klnę się na pierwszych dni tworzenie,
Klnę się na koniec świata tego,
Klnę się na wiecznych prawd promienie
I hańbę czynu zbrodniczego;
Klnę się na gorzkie grzechów męki,
Na krótkie zwycięstw mych marzenia,
Na powitalne uściśnienia,
Na pożegnalne twojej ręki;
Klnę się na duchów szereg mnogi,
Na losy braci mi podwładne,

Aniołów męstwo bezprzykładne,
Gdy ku mnie błyska miecz ich wrogi;
Klnę się na czeluść czarną piekła,
Świątynię ziemi i na ciebie,
Na łzę, co pierwsza ci pociekła,
Na oko twe utkwione w niebie;
Na ust niewinnych twoich tchnienie,
Na falę włosów jedwabistych;
Klnę się na szczęście, na cierpienie,
Na ognie uczuć płomienistych:
Jużem się zarzekł nienawiści,
Jużem się zarzekł zemsty, pychy,
Od fałszu duch mój się oczyści,
Rozbiję trucizn mych kielichy;
Ja pragnę z niebem się pogodzić,
Ja chcę się modlić, chcę odrodzić,
Chcę w dobro wierzyć, chcę miłować.
Złe czyny chcę odpokutować.
I zetrę ślady niebios kary,
Szpecące dumne moje czoło,
I niech bezemnie świat ten stary
Ku kresom toczy swoje koło!
Wierzaj mi! jeden ja jedynie
Ciebiem zrozumiał i ocenił,
Jam w tobie uznał swą świątynię,

W niewolę władzę mą zamienił.
Miłości pragnę twej — jak daru,
Za chwilkę wieczność dam ci całą;
W miłości, w gniewie, wierz — Tamaro,
Duszę mam wielką i wspaniałą!
Daj mi twój rozkaz! Rzeknij słowo:
W nadziemskie cię uniosę sfery!
Tam będziesz druhem mym, królową,
Posłuszne będą ci etery!
I bez współczucia, bez żałości
Będziesz na ziemskie patrzeć sprawy,
Gdzie nie masz istnej szczęśliwości,
Wiecznego piękna, wiecznej sławy;
Gdzie kary boskie, ludzkie zbrodnie,
Poziomych uczuć gdzie pełzanie,
Gdzie nienawidzieć, kochać godnie —
Serca lękliwe nie są w stanie.
Czyliż ty nie wiesz, czem miłości
Kaprysy zmienne są u ludzi?
To falowanie krwi młodości,
Ale dni biegną — krew się studzi.
Kto z nich się oprzeć kiedy zdoła
Rozstania chwilom, serca nudzie,
Nowości ponętnego czoła,
Swawoli marzeń? próżny trudzie!

O, nie, nie tobie z licem jasnem,
Wiedz! przeznaczyły tak już losy,
W milczeniu zwiędnąć w kole ciasnem,
Zazdrości grubej znosić ciosy,
Wśród lekkomyślnych dusz i chłodnych,
Przyjaciół zdradnych, wrogów silnych,
Strachów, nadziei, prac bezpłodnych,
Zawodów ciężkich, nieomylnych!
I wierzaj mi, klasztoru wieko
Nie schroni cię od namiętności,
Wśród modlitw równieś ty daleko
Od bóstwa, niebios i ludzkości!
O, piękna! wiedzieć tyś powinna,
Twa przyszłość dzisiaj się pogłębia,
Czeka cię dzisiaj droga inna,
Zachwytów nowych czeka głębia!
Pozostaw dawne twe żądanie
I świat ten nędzny losom jego,
Albowiem wwiodę cię w otchłanie
Poznania świata nieziemskiego.
I tłumy duchów mych podniebnych
Pod stopy przyprowadzę twoje;
Orszak czarownych mych służebnych
Będzie twe, piękna, strzedz podwoje
Dla ciebie z gwiazdy — tam! na wschodzie

Koronę zerwę promienistą
I rosę wezmę z róż w ogrodzie,
I rosą ją obryzgam czystą.
Z zachodzącego słońca nici
Różowych utkam pas bogaty
Na ozdobienie twej kibici,
I wonne dam ci aromaty!
Dziwnymi dźwięki słuch zbogacę,
Obcymi dla śmiertelnych synów;
Wspaniałe wzniosę ci pałace
Z turkusów cudnych i bursztynów.
I spuszczę się w bezdenne morze,
I lot rozwinę nad obłoki,
I dam ci wszystko, co świat może,
Lecz kochaj mię!...

XI.

— I zbliżył kroki,
I zlekka usty płomiennemi
Dotknął dziewicy drżącej wargi,
I odparł słowy kuszącemi
Jej mowy ciche, rzewne skargi.
I moc potężna w jego oku,

Paliła biedną. W nocy mroku
Błyszczał, jak kindżał nieodparty,
Był w żądzy jednej cały zwarty,
I splamił życia czyste karty,
I pocałował ją duch kary,
Napełnił serce jej trucizną...
Dotknięta straszną ducha blizną
Krzyknęła — czując ból bez miary...
Skupiły się w tym krzyku żary
Miłości, modły, wyrzut, męki,
I brak nadziei, i brak wiary
I pożegnalne życia jęki...
. . . .

XII.

Była już północ. O tej porze
Z deską żelazną, koło ściany,
Pełniąc w noc służbę przy klasztorze,
Zwolna stróż chodził zadumany,
Stawiając kroki swoje miernie;
I koło celi mniszki stary
Wstrzymał się nagle, bo niezmiernie
Zmąciły duch mu nocne mary.

Wkoło mrok nocy gęsty, chłodny!...
On słyszał — tak mu się zdawało —
Ust dwojga pocałunek zgodny,
Krzyk, jęk chwilowy... echo brzmiało,
I niepoczciwe drgnęło serce,
Zwątpieniem zwykłem u człowieka...
Lecz błysło mgnienie, po rozterce
Zacichło wszystko; li z daleka
Wiatr to przybywa, to ucieka,
I liście szemrzą ciche żale,
I z brzegiem ciemnym szepcą fale,
Które toczyła górska rzeka.
Ażeby ducha złego czary
Męczące serce precz zażegnać —
Modlitwę świętą zmawia stary,
Niepokój z duszy chce odegnać;
I pierś wzburzoną, pełną strachu
Zbroi w znak krzyża, miast pancerza,
I wkoło klasztornego gmachu
W milczeniu kroki znów odmierza.
. . . .

XIII.

Jak Peri spiąca — cicha, miła
Leżała w trumnie bez tchu łona;
Bielszą i czystszą, niż osłona,
Bladością pięknych lic świeciła.
Powieki szczelnie już zakrzepły...
Lecz któżby nie powiedział, Boże,
Iż wzrok cudowny zbudzić może
Promienne jasnym brzaskiem zorze,
Lub pocałunek druha ciepły?
Ale napróżno promień złoty
Po nich ożywcze ślizgał groty,
I usta krewnych w niemym smutku
Je całowały już bez skutku,
Bo gdzie śmierć pieczęć położyła,
Tam jej nie zerwie żadna siła!

XIV.

I nigdy jeszcze tak czarowny,
I taki barwny, tak bogaty
Nie był jej przystrój: śliczne kwiaty,
Jak żąda obrzęd nieodzowny,

Pysznie odświętne zdobią szaty
I leją miłe aromaty,
Lecz zaciśnięte martwą dłonią
Już się od śmierci nie obronią.
I żadnych śladów twarz jej biała
O smutnym końcu nie zdradzała,
Że zgasła w walce i boleści.
I była pełną tej piękności,
Co na posągach tylko gości —
Kutych z marmuru, tej, co treści
Myślowej, uczuć pozbawiona —
Jest w morzach śmierci pogrążona.
Uśmiech, co w chwili jej konania
Na ustach mignął, tak i został,
W nim była mowa narzekania;
Nie każdy ją odczytać sprostał,
Był w nim lodowy wyraz wzgardy
Duszy, co zwiędnąć jest gotowa,
Ostatniej myśli smutek twardy,
Bezdźwięczne pożegnania słowa;
Daremny odblask chwil minionych,
Uśmiech ten — wiele był zimniejszy
Od oczu śmiercią powleczonych,
Beznadziejnością swą martwiejszy,
Tak — w czas zachodu uroczysty,

Kiedy już zapadł wóz ognisty,
W otchłaniach złota roztopiony,
To śnieg Kaukazu w oka mgnieniu —
W odcień purpury ozdobiony —
Błyszczy we mroków oddaleniu;
Lecz blask promienia tego marny:
W pustyni światła nie roznieci,
Niczyjej drogi nie oświeci
I sam zapadnie w pomrok czarny...

XV.

Krewnych, sąsiadów nieszczęśliwy
Orszak wyrusza w drogę smutnie.
Hudał, targając włos sędziwy,
W milczeniu rażąc pierś okrutnie,
Po raz ostatni już dosiada
Białogrzywego swego konia.
I pochód ruszył. Do ustronia
Trzy doby dążyć mu wypada.
Tam — gdzie praojców leżą kości,
Czeka przybytek spokojności...
Był przodek jeden u Hudała,
Grabił, rabował wciąż dopóty,

Dopóki go nie przełamała
Choroba: nastał czas pokuty;
Pragnąc odkupić życia grzechy,
On przyrzekł wznieść cerkiewne mury,
Gdzie granit wznosi się ponury,
Gdzie zamieć huczy, gdzie uciechy
Sęp szuka, lecąc po nad chmury;
Między śniegami więc Kazbeku
Wkrótce świątynia szczyt wznosiła —
I oto! mija już czas wieku;
Grzesznika śmierć uspokoiła.
Tak zamieniono w cmentarzysko
Skałę, co z chmurą tylko żyła,
Jakoby śmierci przystań była
Cieplejszą, gdy od niebios blizko;
Jakoby dalej śpiąc od ludzi,
Spokojniej było w grobu cieśni...
Napróżno! zmarłym nic się nie śni
I nic do życia nie przebudzi!

XVI.

Tam — gdzie eterów płyną fale,
Jeden z aniołów skrzydłozłoty

Wysoko wznosił swe poloty
I — duszy grzesznej kojąc żale —
W niebieskich sfer ją niósł namioty;
I słodką mową pocieszenia
Jej wątpliwości rozwiązywał,
I ślady winy i cierpienia
Strumieniem własnych łez omywał.
Zdaleka dźwięki śpiewne raju
Już ku nim biegły, kiedy nagle
Szatan z bezdennych piekieł kraju
Wzbił w górę ku nim skrzydeł żagle...
I groźny był, jak wicher szumny,
A świetny, jako błyskawica,
I w zuchwałości pychy dumnej
Przemówił: „moja niewolnica!"

Ku piersi ciśnie się anioła
Z modlitwą świętą, strachem drżąca
Tamary dusza — nie wiedząca,
Czy Bóg, czy szatan ją powoła.
Lecz szatan przed nią!... Któż go może
W tej chwili poznać? wielki Boże!
Jak nienawistnem patrzał okiem!
Jakiej straszliwej złości wzrokiem,
Złości, co nie zna nigdy końca,

I tchnęła śmierci zimnym mrokiem
Twarz nieruchoma i grożąca!

„Szczeźnij, ponury duchu złości!“
Zabrzmiały słowa aniołowe,
„Tryumfy twoje są jałowe,
Wyroki dzisiaj przyszły nowe,
Wyroki Boskiej łaskawości!
Minęło próby doświadczenie:
Ziemskie zrzuciła już odzienie,
Spadły z niej grzechów ludzkich pęta,
I będzie do nas w niebo wzięta.
Dusza jej była z dusz tych jedna,
Dla których życie — chwilką marną,
Chwilką nieznośną i męczarną,
Które dopiero Bóg pojedna.
Z eterów lepszych materyału
Stwórca dał fibry im subtelne,
Nie dla ziemskiego ideału,
Lecz czyste i nieskazitelne!
Za cenę straszną odkupiła
Zwątpień i mąk swych ciężkie drogi:
Ona kochała i walczyła! —
I raj otworzył przed nią progi!“

I anioł oczu srogich groty
Na kusiciela z mocą rzucił,
Z radością podniósł skrzydeł loty
I wesół w niebo z nią powrócił.
I przeklął szatan pokonany
Swych bezrozumnych pragnień mary,
I znów, w swej dumie niezłamany,
Został w wszechświecie nieuznany —
Sam, bez miłości i bez wiary!...

U schyłku kamienistej góry,
Po nad doliną kajszaurską —
Do dziś zamkowe stoją mury
I okolicę zdobią górską.
Kraj dotąd pełen strasznych gadek;
Gdy o nich prawią dzieciom starzy,
To dziatki bledną na swej twarzy...
Jak widmo — dziejów dziwnych świadek —
Pomnik w pośrodku drzew czernieje.
Na dole nizko auł [1]) leży.
I ziemia kwitnie, zielenieje,
I głosów chór niezgodny bieży,

[1]) Auł = wieś. *(Przyp. tłum.)*.

Gubiąc się... Idą karawany
I dzwonią, wlokąc się z daleka,
I jako rumak rozhukany —
Przez mgły spadając — leci rzeka.
I krasą cudną, wiecznie młodą,
Świeżością, słońcem i pogodą
Przyroda cieszy się — jak dziecię,
Którego brzemię trosk nie gniecie.

Lecz zamek stoi dziś w żałobie,
Spełniwszy służby swej koleje,
Jak starzec biedny, kiedy w grobie
Pochował z dziećmi swe nadzieje,
I oczekują tam miesiąca
Ukryci nowi w nim mieszkańce:
Wtedy tam radość kipi wrząca,
Brzęczą i biegną na wsze krańce.
Tam pająk, dziś pustelnik nowy,
Wyprzędza sieci swych osnowy;
Jaszczurka igra tam rodzinna,
Wesoło bawiąc się na dachu;
Ostrożnie sunie się gadzina
Z szczeliny zamkowego gmachu
I dalej pełznie na krużganek,
W potrójny zwija się wnet wianek,

Potem wyciągnie się — jak długa
Błyszcząc, jak w dłoni bohatera
Bułat, gdy ranny już umiera,
Zbyteczny, ale wierny sługa...
— Tam dzisiaj dziko! Żadne ślady
Nie pozostały! czas zagłady
Dokonał. Przeszłość przeleciała,
Jakoby nigdy i nie była,
I Hudałowa przeszła chwała,
I córa jego przeszła miła...
I kości ich oddane ziemi;
Ale w chmur łonie jeszcze ninie
Widnieje cerkiew na wyżynie,
Broniona skrzydły anielskiemi.
I z nią zawarły swe przymierze
Czarne przy wrotach jej granity;
Każdy z nich warstwą lodu kryty,
Który im służy za pancerze,
I każdy wiernie miejsca strzeże.
I lawin sennych tam gromady,
Spadając z gór, jak wodospady —
Raptownie mrozem pochwycone,
Wiszą dokoła nachmurzone.
I zamieć wieczna, jak stróż chodzi
I pył z sędziwych ścian zdmuchuje

I albo trele swe wywodzi,
Albo szyldwachów nawołuje.
W dalekie kraje, w obce strony
O tej świątyni odgłos płynie,
Lecz ku niej śpieszą li jedynie
Obłoków wschodnich legiony,
I nad rodziną płyt mogilnych
Nikt nie wylewa łez bezsilnych.
Skała Kazbeku posępnego
Swe czaty pełni przy nich stale...
Spokoju grobom należnego
Tu nie naruszą ludzkie żale.

1889 r. 28 sierpnia.
Jarowe w g. Kijowskiej.

ANIOŁ ŚMIERCI.

(POWIEŚĆ WSCHODNIA).

LERMONTOWA.

Kraino cudna, Wschodzie złoty,
Kraino czarów, namiętności,
Gdzie róż ogrody, ziem klejnoty,
Prócz szczęścia wszystko w obfitości,
Gdzie fale w rzekach płyną czystsze
Obłoki niebios uroczystsze,
Wspanialej wieczór dogorywa,
Świat cały piękność ta okrywa
I otaczają te uroki,
Gdy duszy ludzi piętnem skazy
Nie splugawiły złe wyroki.
Ja kocham, Wschodzie, twe obrazy!
Kto ciebie znał, ten zapominał
Ojczyznę własną. Ten wspominał
Krasawic twoich świetne oczy,
W których się tyle żaru mieści
I — bezwątpienia — ten ochoczy
Uwierzy smutnej mej powieści.

Jest anioł śmierci; w pożegnania
Ostatniej chwili życia groźnej
Całuje nas; lecz całowania
Ust jego martwe są i mroźne.
I straszną chwila jest konania.
Ofiara słaba — mimowoli
Ostatni oddech swój oddaje,
Lecz serce biedne boli, boli,
Gdy się już z życiem swem rozstaje.
Lecz ongi ludzie chwilę ową
Do chwil szczęśliwych zaliczali,
Anioła Śmierci tajne słowo
U wrót wieczności przyjmowali.
Wzrok jego pełen był miłości,
Uśmierzał burzę namiętności
I w duszę chorą i gasnącą
Nadzieję lał pokrzepiającą.

Zarówno wszystkie kraje ziemi
Nawiedzał młody Śmierci Anioł
I na ten nędzny ziemski padół
Oczyma patrzył wzgardliwemi,
Lecz przyjścia były łaskawemi,
Bo niebios cisza z nim szła na dół;

Opromieniony światłem bladem,
Jak światło gwiazdy o północy,
Śmiertelne czarem swojej mocy
On wabił dusze; z licem radem
Do raju wiódł ich mnogie rzesze
I był szczęśliwym w tej uciesze.
Dlaczegóż dziś błogosławieństwo
Anioła Śmierci — to przekleństwo?

I niedaleko nad brzegami
Bałwanów szumnych oceanu,
Pod niebem znojnem Hindostanu
Pagórki stoją szeregami.
Ostatni wznosi chmurne czoło
I skały zdobią go wokoło,
Wybiega w morze; tam swe gniazda
Uwiły sępy i orłowie,
I rybak każdy ci opowie,
Jak niebezpieczną tam w noc jazda.
Dzikiemi skryta tam krzakami
W nim jest jaskinia potajemna,
Mieszkanie gadów — zimna, ciemna,
Jak oszukane marzeniami,
Jak pozbawione celu życie,
Jak zbójcy lice z uśmiechami,

Gdy zbrodnię w sercu karmi skrycie.
Latarni służbę przy niej pełni
Srebrzysty miesiąc w blasku pełni;
Jej strażnicami palm są rzędy,
Z nią fale szumią swe gawędy.

W niej zdawna mieszkał już wygnaniec
I Zoraima imię nosił.
On na tej ziemi był skazaniec,
Lecz przebaczenia on nie prosił.
Mógł być szczęśliwy, lecz błogości
W zabawach szukał wciąż uciesznych,
Był grzeszny, lecz doskonałości
Od innych żądał, jak sam grzesznych.
W poziomem szukał on wielkości;
Za szczęście biorąc szczęścia mary,
W nadziejach pełen lękliwości,
W bezpożytecznej ostrożności
On do nikogo nie miał wiary.
Miłował noc, swobodę, góry,
Świat cały... lecz od ludzi stronił...
Choć kochał ich, to miłość gonił:
Na czole nosząc zimne chmury,
Z zasady był jej dumnym wrogiem,
Niepomny, że gdy w ludzkiem łonie

Raz się zapali — wiecznie płonie,
Bóg pogardzony — zawsze Bogiem!
Skarb jeden tylko i świątynię
On miał pod niebios swym namiotem,
Jak raj więc cenił tę pustynię...
Czy sen jest prawdą?... Nie wiem o tem!

Tam — gdzie Libanu szczytne góry:
Ozdoba grobów — cyprys rośnie
I bluszcz oplata go miłośnie.
Więc gdy zahuczą groźne chmury,
Szalony wicher kiedy wrzaśnie,
Cyprysa złamie wysokiego:
Pociechę cyprys znajdzie właśnie
W ramionach bluszczu, druha swego...
Tak, obcym światu był Zoraim,
Lecz Ada była jemu rajem!
I była rześwą jako łania,
I miłą, jako blask zarania;
Jej pierś i kibić — ogniem wrząca,
Jej oczy — dwa południa słońca.
I cały świat ją wtedy bawił,
Dopóki w bladej swej wzniosłości
Wygnaniec przed nią się nie zjawił
Z oczami zimnej zuchwałości;

I zapragnęła wówczas ona
W zastygłej piersi jego zrodzić
Miłości ogień, i odrodzić
Zagasłe serce jego łona.
I to spełniła. Zoraima
W objęciach swoich Ada trzyma:
Ich miłość w jedno połączyła,
A zaś rozłączy ich — mogiła!...

Na szczycie niebios lazurowych
Z gwiazdami miesiąc srebrny płynie
Oświetla cichą dziś jaskinię;
Gromady wód oceanowych,
Próbując sił swych tytanowych,
O cypel biją w tej godzinie.
Zwyczajnie — w czas tak uroczysty,
Pamiętam — tkliwy głos i czysty,
Towarzyszony grą muzyki,
Wyrzucał w przestrzeń dźwięków szyki:
Z jaskini one wychodziły.
Szatany jakież owe dźwięki
Czarowną władzą dziś stłumiły?...

Bez uczuć prawie i bez siły
Na łożu śmierci, łożu męki —

Urocza Ada. Nie owionie
Pięknego lica wietrzyk świeży,
I próżno wzrok gasnący bieży
Ku niebios górnych wschodniej stronie.
I próżno czeka dnia jasnego,
I nie doczeka jutrzejszego,
Bo się rozstanie przed porankiem
Ze światem, życiem i kochankiem.

U jej wezgłowia — przerażony
Zoraim, strachem tajnym blady,
Stał na kolanach przygnębiony,
Na twarzy mając bólu ślady.
Dziewicy ręka chłodna w ciepłej
Wygnańca ręce, lecz nie grzeje
Żar życia ręki już zaskrzepłej;
Zoraim myśli: „Są nadzieje.
Że ręka chłodna — nic nie waży,
Ja widzę życie na jej twarzy!“
Tak bywa czasem: w to myśl wierzy,
Co pochowane w grobie leży,
A gdy nam nic nie pozostaje
Na pocieszenie swego serca,
Nadzieja — chociaż nas nie łaje,
To z nas się śmieje, jak szyderca.

I w on czas Śmierci Anioł tkliwy
Pod niebem leciał południowem;
Wtem słyszy w dole szmer gniewliwy,
I płacz miłości z żalu słowem...
Więc Anioł w jednem oka mgnieniu,
Zjawiskiem uderzony owem,
W jaskini staje. I w cierpieniu
Ostatniem śmierci szybko śpieszy
Osłodę przynieść biednej Adzie,
I — jako może — tak ją cieszy:
Na ustach pocałunek kładzie.
Do lotu potem już się ima,
Lecz nagle ujrzał Zoraima
W boleści wielkiej... Cóż poradzi?...
Promienie oczu ich się zbiegły,
Anielskie oczy wnet spostrzegły
W śmiertelnych wyrzut gorzki. Drgnienie
Litości poczuł Anioł święty,
A potem więcej, bo sumienie
Obwinił swoje, żalem tknięty:
On zabrał szczęście Zoraima,
Zoraim dzisiaj nic już nie ma,
Ją jedną kochał. W tej miłości
Zgorzały inne namiętności.

Lecz on nie płakał... W piersi jęki
Zamarły... Wszakże bladość czoła
Świadczyła, że już nie podoła
Boleściom, srozszej nad śmierć męki.
To pojął Anioł... Któż nie pojmie,
Że gdy najżywsza boleść dojmie,
Ją pieczętuje chłód milczenia?...
Schnie źródło łez!... To są rękojmie
Nadziemskich bólów... to cierpienia!

I Aniołowi myśl przychodzi,
Aniołów godna: męczennika
Za boleść ciężką wynagrodzi,
Bo przecież Stwórca nie zamyka
Nikomu drogi pocieszania:
Więc Anioł pierś swą wnet odmyka
I duszę w trupa on wyłania...
O cuda! Ada ożywiona
Anielską duszą! Krwi strumienie
Zabiły tętnem w środku łona,
I błysły oczu jej promienie.
Tak Anioł Śmierci się połączył
Ze wszystkiem, czem świat ziemski miły,
Lecz z niebiosami się rozłączył
I pozbył dawnej cudnej siły.

W pamięci tylko obraz blady,
Odgłosy sfery bardziej czystej:
Tak pozostawia w oku ślady
Meteor w nocy promienisty!
I dziwi Adę życie nowe,
I przyszłość pełną jest ciemności...
Uczucia dawne aniołowe
Zogniskowała-li w miłości.
Pragnieniom druha poświęciła
Radości wszystkie swego życia,
Jak gdyby śmierć w niej nie gasiła
Miłości żaru, serca bicia!...

I raz był wieczór. Tam na skale
Wygnaniec siedział zadumany,
Z nim Ada. U stóp ich wspaniale
Ocean grał rozkołysany.
Promienie słońca wieczornego
Sinawe głębie wód złociły,
Wędrowne żagle gdzieś brodziły
W przestrzeni groźnej królestw jego.
Dziewica oko czarne, duże
Na przyjaciela kierowała,
Instynktem trafnym zgadywała
Tajemne w sercu dzikiem burze.

On patrzał czasem w roztargnieniu
Ku różowemu zachodowi,
I nagle — ręką swą w milczeniu
Wziął rękę Ady i tak powie:
„Nie mogę! Serce nie pozwoli
W pustyni więzić dłużej ducha;
Jam wolny — dusza ma w niewoli,
Ogniwa skruszę więc łańcucha...
Czem życie? — daj mi sławy czarę
Ze śmiertelnemi choćby jady,
Wypiję śmiało, nawet rady:
Czem szczęście wielkie?... cieniem mary!
Bo przyjdzie przecież koniec życia,
A z nim i serca mego bicia...
Toż powiedz, czyli szczyt mogiły
Nikczemnym będzie temu śladem,
Pod czyjem czołem dumnem, bladem
Wyniosłe myśli wciąż krążyły,
Kto chciał po sławy sięgnąć dyadem?
Rzuć okiem! Oto za górami
Z potężnem wojskiem, z sztandarami
Mocarze idą dwaj na siebie;
I jutro ledwo zorza w niebie
Obłoków stada zarumieni,
Już wojny trąba, szczęk orężów

Pustyni ciszę w burzę zmieni;
Więc, by powiększyć siłę mężów,
Ja do jednego z królów w służbę
Podążę i mam dobrą wróżbę,
Że nie powrócę — pokonany,
Nie! prędzej po bezmiarach morza
Gonione wichrem wód bałwany,
Skąd wyszły, wrócą w kraj im znany...
Nie ściśnie szyi mej obroża!
Niejedną cię ozdobię perłą
I złotem, klnę się, moja droga!
Zostawię sobie sławy berło,
Że zwyciężyłem mężnie wroga —
I żyć będziemy, jak u Boga...
Ja wiem, że nigdy miłość jeszcze
Nie pogardzała wrzawą wojny,
Dla tego jam dziś niespokojny;
I gdybyś chciała ty... Nie!... dreszcze
Przechodzą... Jutro krew się toczy...
Chcę działać śmiało, wciąż na czele,
Bez lęku!... Co ci?... we łzach oczy!
Ty płaczesz?... Czegóż, mój aniele?"
Dziewica-Anioł odpowiada:
„Czyś widział kiedy, jak cień pada

Zamyślonego nad strumykiem
Kwiateczka? Płynie cicho woda,
Kwiateczka skromna w niej uroda
Przegląda... Oto, wnet wietrzykiem
Powiało. Fala się poruszy
I strumyk cichy się zamąci...
Czyż kwiatek w wodzie się nie ruszy
I razem z falą nie roztrąci?...
Tak życie twoje — życie moje,
Spojone w jedno węzłem jednym:
Twój obraz — fala, kwiatkiem biednym —
Ja. Memi — twoje niepokoje.
Ty nie wiesz — może już upływa
Ostatnia chwila nam szczęśliwa!“

Dlaczego w cichej gdzieś dolinie
Wonieją mirtów aromaty?
Dlaczego?... Jedna noc nie minie,
Splugawi człowiek jej makaty.
I zawrze bitwa gorejąca,
Strzał chmury skryją blaski słońca.
Obficie krew się wnet potoczy,
Pomięty kwiatek krwią się zbroczy.
Szalona wrzawa, dzikie krzyki,
Zwycięzców hasła, jęk poległych

Spokojne zmuszą dziś słowiki
Do krain lecieć gdzieś odległych,
Gdzie piękny dzień i noc się toczy,
Gdzie ich królowej, ich miłości
Nie zdepce róży, nie sposoczy
Wojownik — pełen surowości.

Sza!... tentent... kurzu lecą chmury,
I oto, trąby już zabrzmiały!
Poniosło echo głos ich w góry,
W powietrzu strzały zaświstały;
Już purpurowe wstało słońce
Tam, gdzie lazury się wieszały,
Promienie lało czerwieniące
Rycerskie zbroje. W słońca brzasku
Przeciwne wojska się schodziły
Wciąż bliżej, bliżej... Uderzyły!...
W natłoku, tarcz i kopij trzasku,
Sądziłbyś, nagle się zdziwiły...
Lecz król dusz ludzkich — zemsty siła
Ich zadziwienie zwyciężyła.

I strasznym był czas ich spotkania,
Jak gdyby w huku groźnych grzmotów

Dwóch piorunowej siły grotów.
Nie było długo rozwikłania
W chaosie rzezi. Krwi strumienie
Obficie ziemię już zraszały,
Sztandarów płachty się tułały,
I nad żywymi zmarłych cienie.
Tu zgrzyt i jęk, tam złorzeczenie;
Na trupy trupy znów padały...

Lecz — oto, szala się podnosi,
I strona jedna przełamana...
Już się nie broni... łaski prosi...
Ucieka, trwogą pokonana,
Po trawie, która krwią się rosi...
I tylko jeden duch tytana
Samotnie, zdala, otoczony
Wrogami — siekał na wsze strony.
Już przed nim trupich ciał gromady;
On nie był królem, królewiczem,
Lecz jaśniał wzniosłem swem obliczem,
Miał w oku cudnej mocy ślady,
Uderzał dumą swego czoła...
Lecz nikt przemocy nie wydoła:
Toż nagle strzała go przeszyła,
I szumnie padł bohater młody,

Wnet krew się z niego potoczyła
I pobielały lic jagody,
I nie przemówił ani słowa,
Gdy nad nim hufce przeleciały,
I gdy zabrzmiała pieśń bojowa —
Dzwon pogrzebowy jego chwały.

Gdzie góra kręta i wysoka,
Na bitwę tam patrzała Ada
I wytężała siłę oka;
Za okiem sama lecieć rada.
I boleść żarła ją głęboka:
Wysoko pierś się jej wznosiła
I serce biło tam w bojaźni,
Zwiększonej mocą wyobraźni,
I łza wciąż lica jej rosiła...
O Boże! w blasku takich oczu,
Czem sławy ziemskiej marna siła?...
Utonąć wiecznie w ich przezroczu!...
Pocóżeś pragnął krwi, szalony?
Straciłeś skarb nieoceniony...
I nie wiedziałeś: Anioł tkliwy
Opuścił raj, w ten świat burzliwy
Przyleciał, żeby serce Ady
Ożywił, żeby cię pocieszył;

On rzucił innych bez porady,
W godzinę śmierci nie pośpieszył.
A tyś nie słuchał jej modlitwy,
Opuścił Adę, na głos bitwy
Za sławą pomknął, za marnością!...
Przyjąłeś dzikie te gonitwy,
Wzgardziłeś cudną jej pięknością!...
Zalega pole cisza głucha,
Przemknęły wojska i sztandary,
I tylko krwawych ciał bez miary
Potratowanych lub bez ducha!...
Lecz gdzież jest Anioł pocieszenia?...
Gdzie goniec raju i wieczności?
On w służbie ziemskiej namiętności
I nie pocieszy ich cierpienia...
Już słońce nizko... Ada czeka!...
I niema jego... czas ucieka!

Ze szczytu górnej swej wyżyny
Już Ada schodzi do doliny:
Wśród trupów brodząc — ledwo dyszy,
I jak w niewinnym, w czas przed kaźnią —
Nadzieja walczy w niej z bojaźnią,
Własnego serca tętno słyszy.

Przewidzieć ona się obawia
I z każdym krokiem postanawia
Powrócić. Ale duch miłości
Przeważa szalę lękliwości;
Kto widział w on czas Adę miłą
Ze smutnie pochyloną głową,
Jej postać cichą, aniołową:
Ten widział lilję nad mogiłą!
Lecz gdzież Zoraim?... Jakież męki!...
Sza! czyj głos?... Czyje słychać jęki?
Kto leży strzałą obalony
U stóp dziewicy?... Czyim głosem
Rażona, jak piorunu ciosem?
Kto murem trupów otoczony,
Choć wyraz śmierci już i na nim?...
Kto taki?... Stało się!... Zoraim!...

„Tyś tutaj, Ada?... W takiej chwili
Twa dobroć losu nie umili!
Bo pocóż dusza twa spokojna
Ma wiedzieć, czem jest groźna wojna?
Zbyteczny dowód to miłości!
Tyś nie powinna widzieć śmierci,
Bo straszne wojny okropności
Pokrają serce twe na ćwierci.

Ja chciałem widzieć je: widziałem
I widzę, jak dziś duch mój z ciałem
Na zawsze się rozstaje. Wina
W tem moja! Przyszła dziś godzina,
I gwiazda pierwsza nam obwieści
Fatalny wyrok strasznej treści...
Przed tobą ciężko jam zawinił,
Sierotą ciebie jam uczynił,
Nie znajdziesz krewnych! Przebaczenia
Ja błagam! Ciężkie twe cierpienia!
Gdy nawet da ci los drugiego,
Nie da ci szczęścia powtórnego!

„O, droga! po co uściśnienia
I pocałunki tak namiętne?
Ty widzisz — oczy moje smętne!
Ty zwiększysz tylko ból cierpienia,
Przypomnisz mi, że szczęście miałem...
O, czemuż już nie zapomniałem,
Że są na świecie przypomnienia!
I czuję — wieczność już mię chłonie,
Wciąż bardziej zimne, martwe dreszcze...
Kto myślał?!... Jam tak młody jeszcze!
Jam mógł szczęśliwy na twem łonie

Spokojnie przeżyć długie lata
Pod cieniem nadoceanowych
Palm... Teraz życie me ulata
Na gruzach marzeń mych różowych!...

„I jeszcze w stronie mej ojczystej
Był wieszczbiarz mądry, życiem czysty.
On przepowiedział: chwila będzie,
Dokonam czynu tak wielkiego,
Iż za dalekie mórz krawędzie
Poleci grzmot imienia mego,
Lecz“... Tu, jak harfy dźwięk odległy,
Już słowa pojąć się nie dały,
Przebłyski z oczu uleciały,
Widocznie siły go odbiegły.

Lecz Ada już go nie słuchała,
I milcząc — mocno go ściskała,
Z pamięci jednak uroniła,
Że cudnej władzy się pozbyła,
Że pocałunek jej bezsilny,
Że nadaremne uściśnienia,
Że dziś nie może przedmogilnej
Boleści słodzić i cierpienia...
Wtem, na odległym firmamencie

Z gwiazd wielu, które niebo chowa,
Zabłysła w światów tych odmęcie
Przedziwna gwiazda brylantowa.
Blaskami swemi tak igrała,
Jak gdyby wcale nie wiedziała,
Że blaski świetne jej złociły
Ofiary wojny i mogiły...
Zoraim pragnął też namiętnie
Pieszczotom Ady odpowiedzieć,
Lecz wszystko, co mógł jej powiedzieć,
To mówił ciemno, zimno, smętnie.
Łez ogień Ady na jagody
Lubego pada, lecz jak lody
Już zimne one. Już kroplami
Krew rana sączy i bez mocy
Zoraim leży; jak duch nocy,
Porusza, kracząc, sęp skrzydłami...
Na Adę spójrzał pochyloną
Po raz ostatni już młodzieniec,
Na gwiazdy jasnej złoty wieniec...
I powstał... Odetchnęło łono...
I umarł... Ciało Zoraima
Z sinemi usty i z oczyma
Zbladłemi w trupa się zmieniło:
Oblicze miłe dziś straszyło.

Lecz czyj to jasną mgłą odziany
Cień czysty, jak duch zabłąkany,
Ku górze podniósł się wysoko,
Gdzie gwiazdy pierwszej świetne oko?
I wieniec igra promienisty
Nad cichem i radosnem czołem,
I długo błyszczy ślad ognisty,
Nad pogrążonym w noc padołem...
To Anioł Śmierci dziś zwolniony
Od więzów ziemi w niebios strony!
Dziewicy spadła z niego szata
I on w ojczyznę swą ulata!
Tam to, co kochał tu ziemskiego,
Już zawsze będzie koło niego!

I odtąd władzy jego siła
Przez wieki się nie odmieniła;
Przeminął ból i smutek twardy,
Jak przemijają widma senne;
Dla ziemi dzisiaj ma pogardy
Uczucie zimne i bezdenne,
Za śmierć lubego zapałało
Pragnienie światu mścić całemu,
I nienawiścią w nim zawrzało
To, co w miłości czuł ku niemu.

I odtąd on nieskończoności
Bezmiary — jak myśl — przelatuje
I wzrokiem jednym obejmuje
Stulecia stuleć i wieczności.
Lecz Anioł Śmierci, zawsze młody,
Dziś przestał duchem być osłody.
On poznał ludzi: „ci litości
Zasłużyć sobie już nie mogą,
Nie ulgę, ale bicze złości
Poniesie śmierć im w chwilę srogą.
Okrutni oni i zdradliwi,
Nie cnoty, ale grzechu chciwi.
Nie cenią życia, klną je raczej...“
Tak dumał Anioł... mógł inaczej?...

Dziś nie omija z nim spotkania
Śmiertelnik z życia raz wyzuty:
Dwa miecze — oczu jego rzuty!
Na powitalny głos wołania
W jelitach drżą nam złe wyrzuty:
Na śmierć to jest błogosławieństwo,
A pocałunek — to przekleństwo!...

SPIS RZECZY.

Część Druga.